



ROBOTNIK POLSKI

W WIELKIEJ BRYTANJI

Niech żyje rząd robotniczy i włościński!

Niech żyje Socjalizm!

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

"The POLISH WORKER
in Great Britain."

Sponsored by the Polish
Socialist Party (P.P.S.).

Redakcja i administracja —
Editorial and Business Offices :
Motcomb Street, London, S.W. 1
Tel. : SLOane 0961.

Prenumerata kwartalna 1 s. 6 d.
półroczna 3 s., roczna 6 s.

Ceny ogłoszeń podajemy na
żądanie. — Za treść ogłoszeń
redakcja nie odpowiada.

PROCES I KONGRES

Prześladowanie socjalistów w Polsce trwa, nastąpiły dalsze aresztowania! Do ujawnionych już nazwisk dorzucić należy kilka nazwisk dalszych, a przede wszystkim Antoniego **Szczerkowskiego**. To chłopskie dziecko spod Pabianic, robotnik tkacki od piętnastego roku życia, jeden z najuspianialszych przywódców, jakich wydał z siebie polski ruch robotniczy, liczy dzisiaj lat 67. Niewiele mu życie oszczędziło; za caratu był sześć razy aresztowany; w okresie I-ej wojny światowej ścigany był przez Niemców i żyć musiał w ukryciu; w czasie hitlerowskiej okupacji przeszedł najokropniejsze tortury obozu koncentracyjnego, skąd wyszedł zniszczony na ciele, choć duchem nieugięty. Teraz za tym kryształowym człowiekiem zamknęły się drzwi więzienia „Bezpieki”. W ślad za Szczerkowskim zabrano jego ucznia: **Śniadego**, działacza młodzieży PPS w Pabianicach, który ma za sobą fantastyczną epopeję walki z okupantem niemieckim. Wymieńmy także Stanisława **Bomby**, robotnika murarskiego z Krakowa, który podczas okupacji hitlerowskiej stał na czele oddziałów bojowych PPS, wślauionych wieloma znakomitymi czynami. On to był kierownikiem akcji kontaktowej z obozem koncentracyjnym w Oświęcimiu; dzięki niemu świat wolny otrzymywał drogami podziemnej łączności wieści o tej masowej kaźni oraz ponawiane raz po raz wołania o ocalenie. Dziś — wypada wołać o ocalenie Bomby, Śniadego, Szczerkowskiego z rąk „Bezpieki”!

Jakaż przyczyna tych prześladowań? Niezmiennie ta sama. W dniu 7 czerwca 1947 r. pojawił się komunikat Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, donoszący o wykryciu rzekomego spisku WRN i o aresztowaniach wśród socjalistów. Wkrótce potem (18 lipca ub. r.) minister Rusinek zapowiedział, że aresztowani staną niebawem przed sądem na jawnej rozprawie. Ale proces tej urojonej „podziemnej organizacji WRN” do tej pory **nie odbył się**, natomiast już w dwóch wielkich procesach politycznych zasiadli na ławie oskarżonych **pojedynczo** rzekomi spiskowcy z WRN. Reżyseria jest przejrzysta i zausze podobna w każdym z tych procesów. Tak więc w procesie dr. Zofii Franio (24—27 lipca ub. r.) jednym z oskarżonych był Bolesław **Gałaj**, a jako świadek występował Obarski. Teraz zaś, w procesie pułkownika Wacława Lipińskiego (3—27 grudnia ub. r.) z kolei **Obarski** siedział na ławie oskarżonych, a Gałaj występował jako świadek. Nie wiemy, kto będzie z woli prokuratora „reprezentował” WRN na ławie oskarżonych w następnym wielkim procesie, ale jesteśmy niemal pewni, że jako świadkowie wystąpią w nim znowu... Gałaj i Obarski. Ten kontredans może się ciągnąć bez końca — tak długo, jak to będzie potrzebne reżymowi.

A przecież **ani na przykładzie Gałaja, ani na przykładzie Obarskiego oskarżyciele nie potrafili wykazać istnienia i działalności rzekomej podziemnej organizacji WRN**. Odwrotnie: oba procesy wykazały, że organizacja ta jest jedynie **wymysłem „Bezpieki”**. Wedle aktu oskarżenia w procesie Lipińskiego, wszyscy oskarżeni należeli do Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polskiej Podziemnej (KPOPP), w skład którego wchodziło miało Stronnictwo Narodowe, WRN (rzekomo reprezentowane przez Obarskiego), WiN i Stronnictwo Niezawisłości Narodowej („sanacja”), zaś PSL miało ściśle z komitetem tym współpracować; akt oskarżenia twierdził, że komitet uprawiał szpiegostwo wojskowe na rzecz obcego wywiadu, terror, dywersję i sabotaż. Z przebiegu procesu wynika niezbicie, że Komitet zebrał się po raz pierwszy dopiero we wrześniu 1946 r. Ale nawet Obarski (w którego zeznaniach wiele zapisać należy na karb znanych metod, stosowanych przez „Bezpiekę” w śledztwie) stwierdzić musiał, iż **rzeczywista, organizacyjna likwidacja WRN nastąpiła w styczniu 1946 r., a więc na długo przed powstaniem KPOPP**. Nic więc dziwnego, że Kwieciński (szef obszaru centralnego WiN, jeden z oskarżonych) zeznał, iż pertraktacje pułkownika Lipińskiego z Tadeuszem Szturm de Sztremem w lutym 1946 r. o przystąpieniu WRN do KPOPP nie dały rezultatu, innymi słowy, zaproszenie zostało odrzucone. Fakt ten potwierdził potem sam Lipiński, dodając, iż Szturm de Sztrem odmówił mu, oświadczając, „że nie ma prawa reprezentować WRN, Zaremba zaś i Pużak również nie mogą się udzielać politycznie: pierwszy ze względu na wyjazd z kraju, drugi z uwagi na obserwację policyjną”. Gdy w ten sposób okazało się, że **WRN nie wchodziła w skład KPOPP**, w zeznaniach Obarskiego pojawiła się jakaś tajemnicza „**Niezależna PPS**”, którą miał on stworzyć na własną rękę we wrześniu 1946 r. „bez porozumienia z kimkolwiek z działaczy WRNowskich i sam ją reprezentował” (cytujemy za warszawskim „Robotnikiem”). Ta „niezależna PPS” liczyła widocznie **tylko jednego członka**, a mianowicie samego Obarskiego... Dla całości obrazu przestudujmy jeszcze zeznanie świadka Gałaja, z którego prokurator starał się wycisnąć wyjaśnienie stanowiska Obarskiego w WRN, a w szczególności sprawę przejścia WRNowskich do (koncesjonowanej) PPS; Gałaj jednak sprawił zawód prokuratorowi, bo — żali się komentator radiowy: — dał „wymijające odpowiedzi”, a potem znowu odpowiedź „niezbyt wyczerpującą”, co nie przeszkodziło temu samemu komentatorowi natychmiast potem twierdzić, iż „rola Obarskiego i Gałaja nie może

już po tych zeznaniach nasuwać żadnych wątpliwości: WRN i całe podziemie dążyło do rozbicia jedności klasy robotniczej”. Jak więc widzimy (i słyszymy), Goebels po zostawił po sobie pojętych nasładowców w dziedzinie fałszowania prawdy w słowie żywym i drukowanym.

Czy i jakim echem odbiły się te aresztowania i procesy na kongresie reżymowej PPS, odbytym we Wrocławiu (14—17 grudnia ub. r.)? Kongres wrocławski był doskonałą okazją, by zażądać wolności dla ludzi takich jak Zdanowski, Pużak, Szczerkowski. A jednak przywódcy reżymowej PPS milczeli, jakby wody w usta nabrali, a niektórzy z nich nawet mieli na mównicy smutną śmiałość poniewierania WRNowskich rzekomych „renegatów socjalizmu”, w rzeczywistości najwierniejszych bojowników proletariatu polskiego. A delegaci na sali? Jakże mogliby oni zabrać głos, skoro **przed kongresem** zebrano od 733 tysięcy członków partii podpisy pod rezolucją, apelującą do wszystkich delegatów o „zwrócenie bacznej uwagi na działalność resztek elementów rozbijających w łonie Partii, rekrutujących się przede wszystkim z podziemnych kół WRNowskich, celem ich ostatecznego wyeliminowania i odcięcia od wszelkich wpływów na masę przez zaostreżenie akcji weryfikacyjnej”. Tak brzmiał ten haniebny dokument. Podobnym sposobem zbierano w r. 1931 podpisy pod pocztówkami, adresowanymi na Maderę; zebrano wtedy kilka milionów podpisów. Wzory są stare; dobrze znanym echem sanacyjnych czasów brzmi więc artykuł Zenona Kliszki (przewodniczącego klubu parlamentarnego PPR), który w „Głosie Ludu” z dnia 24 grudnia tak szczydzi z kongresu wrocławskiego: „Nie znalazł się nikt, kto by **miał odwagę** wystąpić przeciw jedności działania PPR i PPS”. Staropolskie przysłowie tę samą myśl oddawało nieco innymi słowami: „Ja mam szablę, ty masz kij, to się ze mną teraz bij”.

A jednak kongres znalazł sposób zademonstrowania nastrojów ożywiających masę. Wicepremier Gomółka witał kongres tak, jak się przemawia na pogrzebie przyjaciela; zapowiedział, iż „wcześniej czy później” powstanie **jedna partia robotnicza** — „kiedy robotnicy pepesowcy i peperowcy tego zapragną”. Przemówienie to okłaskiwała jedynie trybuna, z sali nie posłyszano **ani jednego okłasku**. Ta tchnąca lodem manifestacja miała swoją wymowę; oznaczała ona, że delegaci, tak samo jak masę członkowskie w partii gotowe są znieść bardzo wiele, **jednak tylko do tej nieprzekraczalnej granicy, którą stanowi fuzyja z komunistami**. Fuzji, gładyszalnego, monopartii masę nie chcą i nie ścierpią; to oczywiste.

Kto będzie stał na straży poszanowania tej woli mas? Kongres przyjął nowy statut; po jego myśli, sekretarz generalny CKW został wyznaczony **w głosowaniu bezpośrednim przez kongres**; wybrano Cyrankiewiczza, po czym już CKW dodał mu do sekretariatu generalnego: Ćwika, Reczka, Henryka Jabłońskiego i Arskiego. Innym postanowieniem nowego statutu **prowadzenie polityki partyjnej spoczywa w ręku komisji politycznej**, złożonej z sekretarza generalnego i pięciu osób; CKW wybrał do niej: Oskara Langego, Osóbkę-Morawskiego, Rapackiego, Rusinka i Szwalbeo. **Są to niezwykle formy życia organizacyjnego**, niemożliwe w demokratycznym ruchu socjalistycznym. PPRowski „Głos Ludu” pochwalił nowy statut, jako że „zbliża on PPS do typu nowoczesnej, marksistowskiej partii”; w istocie rzeczy powstało **org-biuro** i **polit-biuro**, jak w partiach komunistycznych. Jeśli ważymy wyjątkową pozycję sekretarza generalnego w stosunku do obu tych „biur” i do całości partii — ujrzymy wyraźnie rysującą się drogę do swoistego **cezaryzmu partyjnego**; w jakim celu?

Do niedawna przywódcy reżymowej PPS z upodobaniem mówili o „**polskiej drodze do socjalizmu**”, podkreślając (w zasadzie słusznie) odrębności polskiego rozwoju. Od czasu manifestacji poznańskiej 31 sierpnia ub. r. powiały jednak inne, ambitniejsze wiatry! Na zakończenie zjazdu wrocławskiego wołał Cyrankiewicz: „Wskazujemy drogę robotnikom **całego świata**”. Także rezolucja przedkongresowa nawołuje do przeniesienia walki o jednolity front na **teren międzynarodowy**, „by skupić wszystkie szczytne rewolucyjne żywioły socjalistyczne innych krajów wokół... postulatów PPS i innych partii lewicowo-socjalistycznych”. Słowa te niestety **nie będą pomocne** w budowaniu jedności socjalistycznej w świecie; wskazuje poza krajami strefy kontrolowane przez ZSRR, i poniekąd Włochami, ruch socjalistyczny **nie zamierza** przyjąć owej osobliwej „demokracji ludowej” belgradzkiego chowu za swe wyznaczenie wiary; co więcej, **będzie się bronił** przed jej ofensywą ideologiczną i przed dywersjami w ruchu robotniczym.

„**Charity begins at home**” (dobroczynność zaczyna się w domu); przed zadaniem w wielki pułon, głoszący „Międzynarodówkę Jedności Robotniczej” należało otworzyć bramy więzienia przed Szczerkowskim, Śniadym, Bombą i innymi socjalistami — i przywrócić im wolność. Przecież to **oni są** krwią z krwi i kością z kości robotników polskich, a nie różni przedwojenni dygnitarze sanacyjnego faszysty, którzy dziś występują również jako chorągówie „jednolitego frontu robotniczego” w skali światowej. **Lecz Szczerkowski, Śniady i Bomba pozostają w więzieniu.** A.C.

PRZED SIEDEMDZIESIĘCIU LATY POWSTAŁA PIERWSZA ORGANIZACJA SOCJALISTYCZNA W POLSCE.

O Ś W I C I E

Pierwszą polską organizacją socjalistyczną był „Lud Polski”, założony w r. 1835 w Anglii; jej założyciel Stanisław Gabriel Worcell spoczywa na cmentarzu Highgate w Londynie. Znacznie później powstają organizacje socjalistyczne na ziemi polskiej: około r. 1870 powstaje we Lwowie organizacja drukarzy a potem i inne organizacje zawodowe, w r. 1872 w Poznaniu tworzyć się zaczynają związki socjalistyczne, w r. 1876 w Warszawie organizują się pierwsze potajemne kółka socjalistyczne.

Kółka te miały cele agitacyjno-propagandowe. Pod kierownictwem Ludwika Waryńskiego na kółkach tych opracowano w r. 1878 program, podający ogólne założenia socjalizmu. Program ten został potem wysłany do Genewy i tam wydany drukiem pod fikcyjną nazwą programu brukselskiego.

Moment związania się działających dotychczas luźnie kółek i przyjęcia przez nie wspólnego programu stanowi datę wielkiej wagi w dziejach polskiego ruchu socjalistycznego. Zapoczątkowuje on bowiem okres krystalizacji nowożytnego socjalizmu na polskiej ziemi. Od etapu roboty kółkowo-propagandowej, ruch ten przejdzie potem do etapu walki polityczno-rewolucyjnej, którego wyrazem będzie najpierw założenie partii socjalno-rewolucyjnej „Proletariat” w r. 1882, a potem — Polskiej Partii Socjalistycznej w r. 1892.

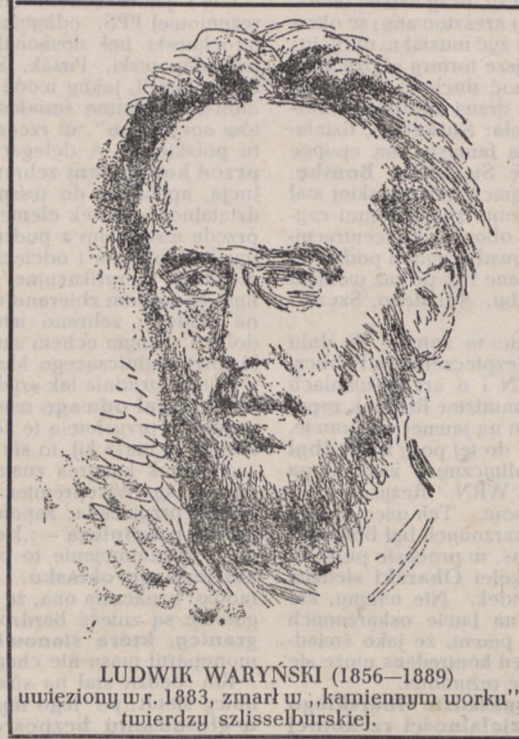
Z londyńskiego organu PPS „Przedświt” (ze stycznia 1902) przedrukujemy poniżej wspomnienie uczestnika zebrania, na którym — pod przewodnictwem Waryńskiego — połączyły się luźne kółka socjalistyczne w jedną zorganizowaną całość.



„Roku Pańskiego 1878, w maju (daty nie pamiętam), w domu na rogu Zielonego Placu i Marszałkowskiej, na czwartym piętrze, w mansardzie studenta Instytutu Weterynarii zebrała się mała garstka inteligencji warszawskiej oraz dziesięciu przedstawicieli dopiero co zorganizowanych kółek robotniczych. Zgromadzenie to postanowiło ogłosić proklamację, że od dnia tego zaczyna istnieć założona przez nie polska partia socjalistyczna. Byliśmy wszyscy bardzo młodzi. Pamiętam, że szczyliśmy się w głębi ducha obecnością wśród nas pewnego „kapitana” — czterdziestoletniego łysego mężczyzny, w rzeczywistości porucznika armii rosyjskiej, który rzucił służbę, urucił do kraju i został ślusarzem, aby „pracować, cierpieć i walczyć wraz z ludem”. Lubił on niezmiernie wszelkie dociekania filozoficzne i ekonomiczne i nieraz zebrania nasze przewlekał do późnej nocy. Reszta — byli to po większej części studenci, był między nami syn bankiera, który uniwersytet skończył, i jeden urzędnik. Poważniej wyglądali przedstawiciele robotników, z których dwóch miało nawet siwe brody i jeden należał w swoim czasie do organizacji 63-go roku. Na tym pierwszym organizacyjnym zebraniu ułożono ustawę, obowiązującą przy zakładaniu nowych kółek oraz zasadnicze wiązania stowarzyszenia. Za wzór, o ile pamiętam, przyjęto dziesięcioletnią organizację 63-go roku. Każdy dziesięć wybierał kasjera i „przedstawiciela”. Komunikowały się kółka ze sobą za pomocą przedstawicieli. Dziesięciu przedstawicieli tworzyło „sekcję”. Sekcja, czyli jak mówili niektórzy „dzielnica” miała prawo wysyłania osobnego przedstawiciela do głównego koła. Czy organizacja ta weszła w życie, nie wiem, gdyż niedługo potem zniknąłem z warszawskiego horyzontu. Wiem tylko, że ilość kółek od razu pozwoliła utworzyć w Warszawie dwie „dzielnice”: północną, która miała główne schronienie gdzieś na Piwnej czy S-to Jerskiej, i południową z głównym schronieniem na końcu Marszałkowskiej, gdzie zaczynały się już wówczas ogrody (zdaje się róg Wilczej czy Hożej). Tam mieszkał Jan Buch (Ludwik Waryński). W schronieniach dzielnicowych znajdowały się rozmaite przedmioty, potrzebne dla bieżących spraw dzielnic, a więc fałszywe dokumenty, trochę książek i proklamacji, kasa dzielniczna, broń itd. Tu można było zastę-

gać wszelkiej informacji, tu przynoszono wszelkie wiadomości o niebezpieczeństwie, aresztowaniach lub zaburzeniach. Zebrania nie miały się odbywać w schronieniach, ale brak środków oraz mieszkaniowy brak zmusił do naruszenia tego środka ostrożności.

Całe lato 78-go roku odbywały się w Warszawie niezwykle liczne i ożywione zebrania. Zaraz po pierwszym zebraniu Głównego Koła ujawniły się sprzeczności w zapatrywaniu członków na sposób działania. Jedni byli za powolnym uświadamianiem robotników przez organizację tajemnych wykładów ekonomii politycznej oraz innych nauk przygotowawczych, przez rozpowszechnianie zakazanych broszur, książek, proklamacji. Drugi dowodzili, że rewolucja, a nawet ruch masowy, zupełnie uświadamiony, jest nonsensem, że w dziejach nie ma przykładu takiego ruchu, że chodzi jedynie o wzbudzenie wśród robotników pojęcia wspólności ich doli i niedoli i możliwości poprawy ich losu tylko przez wysiłki i ofiary zbiorowe, wszystkich dla wszystkich. Teoretyczne rozprawy nie doprowadziły do niczego; na wniosek Ludwika Waryńskiego postanowiono sprawę oddać pod sąd samych robotników. W mieszkaniach duszono się wprost od gorąca i ciasnoty, ale wrażenie tych zebrania było w swoim rodzaju piorunujące. Tym



LUDWIK WARYŃSKI (1856—1889)
uwięziony w r. 1883, zmarł w „kamiennym worku”
twierdzy szlisselburskiej.

duszom znękanym, zwątpiałym powiedziano nagle dobitnie, przekonująco, że są siłą i przyszłością narodu... że niosą w swych namulonych dłoniach losy własnego kraju i całej ludzkości. I pozbliżone znojem czoła wyglądały się; pochylone jarzmem karki wzniosły się, zapatrzone w warsztaty oczy spojrzały na dal: piorunowe błyski przyszłych walk, ofiar i katuszy zagrały na twarzach dotychczas sennych, obojętnych... Nigdy nie zapomnę cię, o wiosno, i błogosławię los, że jedną chociaż „taką wiosnę miałem w życiu”.

Z tłumu robotników wyłonili się natychmiast mówcy zdolni, umysły bystre, samodzielne, z którymi w dysputach z trudnością dawali sobie radę inteligentni agitatorowie. Potworzyły się wśród nich kierunki i prądy, które zaczęły żyć, ścierać się i rozwijać. Przeważał, o ile pamiętam, kierunek spokojny... „chcemy przede wszystkim wiedzieć” mówili robotnicy. Popłynęły pierwsze groszowe składki robotnicze. Zapotrzebowanie na broszury i książki popularne było ogromne. A książek brakło. Pierwszy transport, który przywiózł z zagranicy L. Waryński, został rozchwytywany w parę tygodni. Po drugi posłano młodego, 18-letniego chłopca, który z czasem stał się dość znanym powieściopisarzem, wraz z robotnikiem J. Tomaszewskim. Ten ostatni w cytadeli wszystko wyśpiewał, ale wówczas udawał jeszcze zucha. Mieli dziwną w drodze przygodę. Zdrada już się była wkradła wówczas do organizacji. O wyjeździe ich z Warszawy uwiadomiono policję. Szczęściem, jadąc

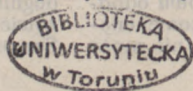
z powrotem, musieli w Zabkowiecach przesiąść się do innego pociągu. W pośpiechu trafili do przedziału, zapelnionego żołnierzami straży pogranicznej i żandarmami, wracającymi z jakiegoś śledztwa. Szukano ich wszędzie, ale do żandarmów nikt nie zajrzał. W Częstochowie zagroziło im jednak innego rodzaju niebezpieczeństwo. Pijany wachmistrz, towarzysz podróży, tak ich sobie upodobał, że gwałtem chciał zatrzymać na chrcziny swego syna. Przywieźli dwie paki książek, trochę broni i części składowe drukarni. Drukarnię urządzono we własnym warsztacie ślusarskim na Pradze.

Dobre to były czasy. Pamiętam, że spotkałem Ludwika Kobylańskiego z walkiem drukarskim na ramieniu. Niósł go otwarcie przez Krakowskie Przedmieście i bardzo się gniewał, gdy go o to strofował. „Gdybym się schował, to bym mię własnie złapali!” Robotnicy gromadami zbierali się za miastem, w Łazienkach, na Saskiej Kępie, strzelali z rewolwerów, czytali, bawili się, śpiewali o Głowackim, „Cześć wam, panowie magnaci”... lub melodię „Czerwonego Sztandaru”, którego nutę już przywieziono z Paryża, ale słów jeszcze nie stworzył poeta. W upojeniu nikt nie dbał o to, co się z nim stanie, mówiono spokojnie o kazamatach, ciężkich robotach, wygnaniu. Jednocześnie wszakże zdrada snuła swą haniebną przędzę. Są poszlaki, że sprzedał braci robotnik, Polak, przywieziony przez Waryńskiego z Kijowa. Sympatyczny, miłujący, wykształcony, został od razu dopuszczony do Głównego Koła, ale dzięki dyscyplinie, już wówczas dość surowo przestrzeganej przez przedstawicieli robotniczych, o poszczególnych kółkach dowiedział się mało. Stąd to kilka z nich ocalało z pierwszej zawieruchy! Podobno zdrajca ten został w parę lat potem zabity.

Pierwszy zamach na organizację był pomyślany bardzo dowcipnie. Około połowy lipca miało się odbyć w schronieniu południowej dzielnicy walne zebranie robotników z Żelaznej Fabryki Lilpopa i Rau, z kolei Wiedeńskiej, oraz innych pobliskich fabryk, na którym zamierzano omawiać sprawę bezrobocia i zaburzeń poza wpływem organizacji w jednej z pomniejszych fabryk, zdaje się wśród kowalicy giserów.

Cześć robotników z kolei Wiedeńskiej przeszła przez dworzec i wcześniej znalazła się na miejscu. Na Marszałkowskiej dostrzegli gromadkę podejrzanych ludzi, przebranych po cywilnemu ale zdradzających ruchami wojskowość. Szli stukając miarowo nogami i skręcili do szyneczku na rogu (Wilczej czy Hożej). Jeden z robotników wstąpił tam natychmiast i, pijac wódkę, przyjrzał im się uważnie. Mówili między sobą z roszyjska, trzymali się po żołniersku. Robotnik podzielił się spostrzeżeniem z towarzyszymi, którzy ze swej strony zauważyli rozstawionych po bramach łapaczy. Natychmiast wzdłuż ulicy Marszałkowskiej i pobliskich poprzecznych ustawili łańcuch pikiet, które ostrzeżały idących towarzyszy. Jeden udał się do mieszkania, aby uprzedzić Bucha i innych. Został tylko Tomaszewskiego, który wystraszony zszedł natychmiast, zabrawszy w przestrachu zamiast rzeczy ważnych jakieś stare rupiecie. Odprowadzono go w bezpieczne ukrycie. Tymczasem na ulicy pomalutko tworzył się ścisk. Zatrzymano jakąś furę z ceglami i policjanci zaczęli tłum rozpędzać, ale ich nie słuchano. Rozjatrzeni robotnicy utworzyli naprzeciw domu zbiegowisko. Moc gawiedzi przylączyła się do nich natychmiast. Policja obsadziła wrota domu, wezwano kozaków i zaezela się rewizja. W pustym mieszkaniu odrzynano podłogi, a ci, których miano aresztować, stali na ulicy i szydzili z kozaków. Wtem zajechał przed dom dorożka Ludwik Kobylański, spostrzegł, co się dzieje, popędził dorożkarza, ale ten wszczął sprzeczkę, że tu a nie gdzie indziej kazano mu jechać. Łapacz poznał Ludwika i zatrzymano go; uprowadzony na podwórze i oddany dwóm żandarmom pod dozór, upatrzył odpowiednią chwilę, wyjął z kieszeni zepsutą rewolwer i wymierzył do straży. Zdumiona cofnęła się, a on przeskoczył za mur do sąsiednich ogrodów. W skoku dostał cięcie pałaszem w nogę, lecz ranę i but rozcięty zauważył dopiero w bezpiecznym schronieniu. Do późnego zmroku ciągnęła się rewizja. Znaleziono trochę fałszywych paszportów, książek zakazanych, trochę pieniędzy, czcionek, paszport Bucha i... u 12 Buchów w Warszawie zrobiono teje nocy rewizje... Tymczasem robotnicy, zatrzymani na ulicy, zbrali się

(Dokończenie obok u dołu strony 3)



01107
c 40590

Az. 232109

OKRUTNY MUS

Odpowiedź p. CATowi.

Dnia 5 października 1944 roku w piwnicach przy ulicy Pańskiej 69 w Warszawie zostawiłem trzydziestu kilku najciężej rannych żołnierzy mego batalionu pod opieką Lucji Laury Chobrzyńskiej-Kaczorkiewiczowej, cenionej i kochanej przez wszystkich obrońców barykad Grzybowa siostry Zofii — Maltanki, obecnej mieszkanki obozu w Foxley. Po uwolnieniu z obozu więziennego i dotarciu do Włoch wśród wielu innych informacji i notatek przekazała mi ona skargę-zwierzenie jednego z rannych. Przytaczam dosłownie i w całości ten prosty dokument ludzkiego cierpienia:

„Siostrzo! Straciłem wszystkich i przyczyniłem się do ich śmierci. Czuję się często zbrodniarzem. Był atak. Brama do serca stolicy. Tej placówki nie wolno było oddać. Jadą czołgi... na przedzie wycyzają barbarzyńskich Niemców — kobiety i dzieci. Porucznik daje rozkaz: „Strzelać!” Chwila wahania i trwogi — serca biją jak młoty. „Józek!” — zwraca się szeptem do mnie kolega. — „Twoja żona i dziecko!” Tak, widzę jej twarzyczkę śmiertelnie bladą, ale w twarzy maluje się nakaz walki do końca. „Dlaczego nie strzelacie?!” — woła porucznik. Strzeliłem. Dobrze trafiłem. Żona padła na miejscu i dzieciątko też... Dymy przesłoniły mi resztę. Tak, Siostrzo. Ja zabiłem żonę i dziecko swoje. Wiedziałem, że nie będą się męczyć, jeżeli ja to zrobię... I tak ciągnąć się to za mną będzie do końca”.

Pamiętam. Było to dnia 10 sierpnia 1944 roku na barykadzie na skrzyżowaniu ulic Grzybowskiej i Ciepłej. Chłopcu, który zawahał się, dowódca barykady sierżant Grześ chciał wyrwać karabin. Karabiny były tylko dwa. Pierwsze nasze strzały padły z odległości kilkunastu metrów. Porucznikiem, który wydał rozkaz strzelania, który w ciągu paru sekund musiał ten rozkaz zważyć w swym sumieniu (i do dziś dnia wciąż go waży) — byłem ja. I za mną tak samo jak za Józką, będzie się to ciągnęło już do końca.

W oddziale „Inspektora” w lesie pod Wąchockiem w końcu lipca 1943 roku poznałem kilkusetletniego chłopca, który w dżdżysty i głodny wieczór przy ognisku pod rozłożystym bukiem czytał kolegom swoje wiersze o zwyczajnym ludzkim szczęściu. Przeszedł do lasu, gdy Niemcy spalili mu całą rodzinę w wiejskiej chacie, do której przez okna zaglądały maluchy. Nazywał się „Mściciel”. To on pierwszy wskoczył przez okno do leśniczówki w Marculi i gołymi rękami chwycił za gardło rosnącego uzbrojonego gestapowca Kruegera. Tałamsili się po obszernej izbie we krwi, kale i moczu du-

(Dokończenie ze strony 2)

gdzieindziej i radzili nad tym, co się stało, nie tracąc otuchy...

W ciągu miesiąca wybrano całe prawie Koło Główne i aresztowano 300 robotników. Zdawało się, że wszystko przepadło, a jednak... dąb szumi!

Z tych, co na Zielonym Placu założyli podwaliny Polskiej Partii Socjalistycznej, dwóch zginęło w kamatach Szlisselburga (L. Kobylański i L. Waryński), kilku umarło zagranicą lub w kraju po powrocie z wygnania, jeden jest obecnie słynnym lekarzem, trzech nabyło rozgłosu w publicystyce i powieściopisarstwie, inni zostali inżynierami, przemysłowcami, kupcami... Robotnicy rozproszyli się po świecie i wyginęli.

Siły weteranów wyczerpały się, dusze ich zużyły się, zmarniały i pobłakły. Wy, młodzi i ofiarni, nie rzucajcie na nich kamieniem! Niech was nie razi słabość, zrodzona z lat i katuszy... Niech was bolą tylko te inne rany, zadane drugimi rękami, gdyż wśród pionierów byli i tacy, co następnie przeszli do wrogich obozów, obrzucali błotem, wienčili cierniem i poiili żółcią ten świt swój złoty”.



Tak brzmiały — w r. 1902 — wspomnienia uczestnika historycznej narady odbytej w roku 1878. Przytaczamy je dzisiaj w pełni, jako doniosły przyczynek do rodowodu socjalizmu polskiego.

szzonego, aż po długich minutach ciała gestapowca znieruchomiało na rumowisku pogruchotanych sprzętów. „Mściciel” miał broń i mógł strzelić. Nie strzelił. Aż do śmierci nie opuścił go skowyt żywcem palonej matki ani potworny obraz trupa w Marculi.

Dla swojego lub czyjegospokoju nie ukrywamy prawdy za kłamstwem milczenia. Walka, którą prowadziliśmy, jedni piórem, drudzy samolotem i czołgiem, trzeci pistoletem i granatem lub gołą ręką — była walką brutalną i okrutną. Stosowaliśmy odwet. Domagaliśmy się odwetu. Podnieceni artykułami i wierszami o tym, że to „za Pruszków” i za „trupę pastuszków” (M. Hemar) — lecieli lotnicy polscy tak samo jak amerykańscy i angielscy (i angielscy!) nad miasta niemieckie i zrzucaли bomby, które rwały i grzebały pod gruzami tysiące starców, kobiet i dzieci, nie obciążonych żadną konkretną winą. Lotnicy wiedzieli o tym tak samo dobrze, jak publicyści. A mimo to rzucali bomby. Nie dlatego, że zapomnieli o szóstym przykazaniu, o pięknej chrześcijańskiej zasadzie, mówiącej o kamieniu i chlebie, lecz dlatego, że taki był m u s.

W Polsce pod okupacją niemiecką, po długich miesiącach beznadziejnego biernego oporu, w znacznie skromniejszych rozmiarach i skromniejszymi środkami, także zastosowaliśmy represję. Nie tylko w Zbydniowie, ale w Warszawie, na przynajmniej ulicy Marszałkowskiej, zabity został przez żołnierzy Armii Krajowej gestapowiec razem z żoną i dzieckiem. W parokrotnych akcjach odwetowych na pociągi pośpieszne między Suchedniowem i Zagnańskiem pod ogniem naszych karabinów maszynowych padali w s z y s c y pasażerowie wagonów „nur fuer Deutsche”. Akcje te wykonywali normalni Polacy. Wykonywali je w ciągłym zmaganiu z głębokimi wewnętrznymi oporami, w nieustannej pracy własnych sumień, w bólu umęczonej wyobraźni, nieznanym nikomu, kto nie patrzył z bliska na postrzępione ciała kobiet i dzieci, kto nie padał na bruk — jak piszący te słowa — w długim poślizgu na ich wnętrznościach rozwłóczonych po jezdni. Wykonywali je nie dlatego, że „adoptowali moralność hitlerowską”, lecz dlatego, bo taki był m u s zbiorowej samoobrony narodu. Bo taki im przypadł w udziale n i e n o r m a l n y, tragiczny los.

Cóż może o tym wiedzieć p. Cat, który rozdziera dziś szaty z powodu opublikowania we „Wiadomościach” autentycznej relacji z akcji represyjnej A. K. w Zbydniowie, a potem, że złą wolą interpretuje parę polemicznych zdań, zamieszczonych w poprzednim numerze „Robotnika Polskiego w W. Brytanii”, redaktorowi tego pisma zarzuca „pochwałę morderstwa dzieci i zachętę do mordowania dzieci”, a autorowi notatki „i jego otoczeniu” podrzuca pogląd, „iż nic nie ma na świecie bardziej normalnego od mordowania dzieci niemieckich czy bolszewickich, o ile są one dziećmi zbrodniarzy”.

Mordowanie dzieci jest zbrodnią. Jest zbrodnią niezależnie od tego, czy są to polskie dzieci z Zamojszczyzny, żydowskie sieroty z przytułku doktora Korczaka, niemieckie ze szkoły „Hitlerjugend” czy sowieckie dzieci morderców z Kątnia. Cudze, czy własne. Tak samo mordowanie kobiet. Tak samo mordowanie mężczyzn (nie tylko „nie obciążonych żadną konkretną winą!”). Wzywanie lub zachęcanie do mordowania ludzi (nie tylko dzieci!) jest zbrodnią.

Nie będzie o tym pouczać p. Cat ani tow. Adama Ciołkosza, ani bynajmniej nie „przypadkowego” autora artykułiku „Mała spółka trwa”, ani czytelników „Robotnika Polskiego w Wielkiej Brytanii”, ani żadnego socjaliste, ani żołnierza Armii Krajowej, który dobrze zna cenę ludzkiego życia i śmierci.

Ale te proste i jasne stwierdzenia nie wyczerpują gmatwaniny zagadnień moralnych, wobec których stanęliśmy w narzuconej nam — wbrew naszej woli — walce, której nie można było — napewno wbrew naszej woli — prowadzić tylko piórem i słowem.

Czy — gdy w procesach hitlerowskich zbrodniarzy wojennych słusznie odrzuciliśmy prawo do usprawiedliwiania mordu otrzymanym rozkazem — istnieje granica obowiązku i konieczności obiektywna, poza sumieniem każdego pojedynczego czło-

BRZASK

Nie ma klęski. Gdy strzela gram,
Kiedy z dachu wyrasta luna —
Wy ramieniem wspieracie dom,
Żeby nie runął.

I gdy na miasto uderza szkwał,
Kiedy skacze fala potopu —
Z waszych piersi szaniec i wał —
I opór.

To nic, że krwawa kaźń,
Że na kołach życia — hamulec,
Każdy może z nas paść —
Nie ulec.

Jeszcze mroczne dni będą szły.
Wam nic, tylko pazurami przywarzyszy
Do sztandarów, obnażać kły i warczeć —
Jak lwy.

Młodzi! Brzask już stoi w bram.
Jeszcze rok, jeszcze dwa, by noc rozciął,
Światłem spłynął do ran
Wolnością!

(Z poezji Polski Podziemnej pod niemiecką okupacją)

wieka? Jakie — w epoce gigantycznych obozów śmierci i bomb atomowych — są granice dopuszczalnej samoobrony własnej, swoich najbliższych, swego miasta, narodu, całego kulturalnego świata?

Czym, wobec niepodlegającego dyskusji bestialstwa strzału z bliska do osobiście niewinnego i bezbronnego człowieka, jest zrzucenie tysięcy bomb na Warszawę czy na Drezno? Czy można skutecznie przeprowadzić konieczną „kurację moralną” żołnierzy z plutonów egzekucyjnych A. K. w tym samym czasie, gdy lotnicy, którzy te bomby zrzucaли chodzą (także wśród Anglików, których poglądy moralne p. Cat stawia nam za wzór) w sławie i glorię?

Jak sprawiedliwie rozważyć ciężar odpowiedzialności za okrucieństwa wojny pomiędzy poszczególne narody i poszczególne ludzi, pomiędzy żołnierzy, do których należał autor notatki „Mała spółka trwa”, i publicystów, do których należał p. Cat, a którzy pisali o wojnie w jakże dalekim od prawdy tonie „radosnej twórczości”? Kogo z żołnierzy dziś przekląć, a kogo powtórnie, jak przed walką, pobłogosławić?

Czy i na jaką karę zasłużył „Mściciel” i czy istnieje kara sroższa od ciężaru, który dźwigać będzie do końca swojego życia i od której ulaskawienie nie jest w ludzkiej mocy?

Czy niewątpliwym mus, koniecznością obrony życia tysięcy innych istnień ludzkich dostatecznie usprawiedliwia wydanie rozkazu strzelania z powstańczej barykady do kobiet i dzieci oraz miotania płomieni na niemieckie czołgi, uwieńczone girlandami skutych nagich jeńców? Czy dobrze uczynił Józek, strzelając do własnej żony i do własnego dziecka? I jakimi słowami ukoić jego sumienie, a jednocześnie przekonać go, że gdyby strzelił nie do własnego, lecz do cudzego, niemieckiego dziecka, byłby „pospolitym kryminalistą”, którego oskarżałby prokurator p. Cat—Stanisław Mackiewicz?

Nie umiem na te pytania znaleźć ostatecznej odpowiedzi w żadnym kodeksie praw, w żadnym systemacie religijnym, ani w dorobku myśli filozoficznej wszystkich krajów cywilizowanych, na które powołuje się p. Cat.

Wiem natomiast na pewno, że żołnierze Armii Krajowej tak samo jak żołnierze polscy z pod Falaise i z pod Monte Casino i jak lotnicy polscy gdzie tylko mogli składali nieznanym innym narodom dowody umiłowania rycerskich tradycji, chrześcijańskiej miłości bliźniego i humanitaryzmu. Los im wyznaczył odcinek walki okrutnie trudny nie tylko fizycznie, lecz przede wszystkim moralnie. Po przeżyciu tego piekła nie są dalsi od prawdy, niż p. Cat, który z tytułu spędzenia lat wojny z dala od hitlerowskich bestialstw występuje w roli lekarza i chce na wciąż rozjątrzonych ranach klaszniczego nie gojący plaster zapomnienia. I jeśli p. Cat w zapamiętaniu polemicznym rzuca w nich kamieniem wzgardy i obelgi, pisząc o ich „słabych nerwach” i „moralności hitlerowskiej” — popełnia naprawdę obrzydliwość. Nie wolno mu bowiem na bezbrzeżnych obszarach ludzkiego cierpienia urządzać sobie politycznego żerowiska i terenu taniego publicystycznego klusownictwa.

Wacław Zagórski.

W OBRONIE PUŻAKA i tow.

MANIFESTACJA W LONDYNIE

Sprawa uwięzionych socjalistów polskich podniesiona została na zgromadzeniu publicznym, odbytym w sali Kingsway Hall w Londynie w dniu 25 listopada ub. r., a zorganizowanym przez Brytyjską Ligę Wolności Europejskiej. Na zgromadzeniu tym przewodniczył Jerzy Dallas, b. przewodniczący *Labour Party*, przemawiali zaś słynny pisarz-filozof i socjalistyczny działacz społeczno-polityczny Bertrand Russel oraz wybitni członkowie głównych brytyjskich stronnictw politycznych: liberal Dingle Foot, konserwatyista major Guy Lloyd i labourzysta kapitan Ryszard Blackburn (ci dwaj ostatni — członkowie parlamentu), zaś mianem ludów Europy wschodniej — Adam Ciołkosz.

Tow. Ciołkosz powiedział w swym przemówieniu:

„Popieram całkowicie pogląd, że niszczenie demokracji w jakimkolwiek kraju europejskim, czy to na północy czy na południu, na zachodzie lub wschodzie, stanowi zagrożenie pokoju i wolności w całej Europie. Obecnie fala totalizmu zalewa mój kraj. Wielkorządcy totalitarni uniemożliwiają Polsce, podobnie jak i innym krajom, korzystanie z instytucji demokratycznych, wprowadzają natomiast t. zw. „demokrację ludową”. Maskując się jako PPR, wspólnie z t. zw. „lewicowymi” socjalistami, niszczą oni dorobek całych pokoleń bojowników socjalistycznych. Gdy jedną ręką wystawiają pomniki tym przywódcom socjalistycznym, którzy nie żyją — drugą ręką więżą tych, którzy są jeszcze przy życiu.

Pragne, by robotnicy brytyjscy wiedzieli o polskich przywódcach socjalistycznych, którzy zostali aresztowani z końcem maja pod uronionym zarzutem współpracy z faszystowskim ruchem podziemnym i szpiegowstwa na rzecz obcego mocarstwa. (Aczkolwiek to obce mocarstwo nie zostało wymienione, nie sądzę, by miano na myśli Rosję). Wiem zbyt dobrze, co należy myśleć o tych zarzutach, do których jesteśmy tak przyzwyczajeni ostatnio. Oto wychodząca z Krakowie gazeta, która twierdzi, że jeden z oskarżonych socjalistów, Wilczyński, spotykał się ze mną w Paryżu i Londynie, by wspólnie knuć spiski przeciwko nowej Polsce, że dostarczał on mi materiały „informacyjnego”, a ja wzamian dawałem mu dolary i wypytane dla dalszej działalności wyrotowej w Polsce. Mogę tylko tyle powiedzieć, że nie widziałem Wilczyńskiego od chwili wybuchu wojny i nie utrzymywałem z nim od tego czasu żadnego kontaktu. Jednakże nie oznacza to bynajmniej, że nie przyzna się on do tych wszystkich rzeczy w czasie procesu...

Jest rzeczą oburządzającą, że wszyscy ci ludzie zostali aresztowani i postawieni pod sąd po tylu długich latach poświęceń i ofiar dla sprawy klasy robotniczej. Słyszmy o aresztowaniu 23-ch, lecz znamy tylko 12 nazwisk. Znajdują się wśród nich: — Kazimierz Pużak, który spędził sześć lat w pojedynczej celi w więzieniu-fortecy Szlisselburgu za swoją działalność rewolucyjną za czasów carskich; Józef Dziegielewski, który za swoją działalność podziemną przeciwko imperialistom niemieckim ścigany był jak dzikie zwierzę zarówno w czasie pierwszej jak i drugiej wojny, a którego żona Elżbieta zamordowana została przez Gestapo z zemsty za jego działalność w ruchu oporu; Ludwik Cohn, który jako oficer armii polskiej walczył dzielnie w kampanii wrześniowej w roku 1939, spędził pięć lat w niemieckim obozie jenieckim i powrócił do Warszawy niezwłocznie po oswoobodzeniu go przez armię amerykańską; Władysław Wilczyński, który odznaczył się podczas powstania warszawskiego w roku 1944, był ranny, awansował do stopnia kapitana i odznaczony został „*Virtuti Militari*” za dzielność — i wszyscy inni, którzy w walce podziemnej przeciw niemieckim najeźdźcom faszystowskim ryzykowali nieustannie swym życiem w walce o sprawę sprzymierzonych. Tacy ludzie oskarżani są obecnie o sympatie faszystowskie!

Mało tego! Zdanowski, który dziesięć lat temu pojechał do Hiszpanii, by odwiedzić i zachęcić polskich ochotników, walczących w Hiszpanii przeciwko generałowi Franco, został

oskarżony o współpracę z Niemcami; pod tym pretekstem uniemożliwiono mu wystawienie kandydatury jako niezależnemu socjalistcie podczas sfałszowanych wyborów w styczniu b. r., wyborów, które miały być „wolne i nieskrępowane”. Zdanowski jest obecnie jednym z uwięzionych.

Nie poprzestając na tym, że mają najwybitniejszych socjalistycznych przywódców w swej fizycznej mocy, „nowi demokraci” czynią wszystko, by podważyć cześć i szacunek, odczuwany przez masę ludową dla tych, którzy znajdują się w więzieniu. Wiem, że wysiłki te zawiodą. Muszę jednakże stwierdzić, że uwięzieni stoją w obliczu największego niebezpieczeństwa.

P. Rusinek, minister pracy w rządzie warszawskim, a obecnie przewodniczący rządowej PPS, dał zapewnienie na konferencji prasowej, że aresztowani socjaliści traktowani są dobrze. Niestety, Warszawę obiegają zupełnie odmienne pogłoski, zwłaszcza w odniesieniu do osób Tadeusza Szturma i Ludwika Cohna.

Wiadome jest, że sądzeni oni być mają przez sąd wojskowy, który nie daje oskarżonym wolnego prawa wyboru obrońców, lecz przydziela ich sam. Jest wiadome, że proces odbędzie się ukrycie. Znaczenie tego procesu będzie jasne: „porzucenie wszelkich wysiłki zachowania niezależności ruchu socjalistycznego — lub taki oto będzie wasz los”!

Czas nagli! Zuracam się do socjalistów i członków Związków Zawodowych oraz wszystkich tych, którzy wierzą w wolność i demokrację, by podnieśli swój głos na znak protestu oraz w obronie aresztowanych socjalistów polskich”.

ODMOWA WIZY

Jak wiadomo, paryska „Liga Praw Ludów” zaprosiła znakomitego adwokata francuskiego, Jerzego Izard'a, aby podjął się obrony Kazimierza Pużaka i innych czolowych socjalistów polskich w procesie, jaki im został zapowiedziany. Mec. Izard przyjął wezwanie i zwrócił się do ambasady warszawskiej w Paryżu z listem napisanym bardzo kurtuazyjnie, w którym zawiadamiając, że chce wziąć udział w procesie jako obrońca prosi o wizę. Ponieważ odpowiedź długo nie nadchodziła, przeto Izard wystosował drugi list, tym razem utrzymany w dość stanowczym tonie.

W odpowiedzi został on zaproszony do ambasady warszawskiej, gdzie w dniu 13 grudnia 1947 pierwszy sekretarz ambasady p. Mirosław Żuławski oświadczył mu, iż rząd warszawski nie widzi potrzeby dopuszczenia obcych adwokatów na proces i odmówił wizy. P. Żuławski dodał: „Żadnych komentarzy — ani oficjalnych ani prywatnych — do tej decyzji nie dam panu”.

Mec. Izard w odpowiedzi zaznaczył, że wobec tego Liga, zgodnie ze swą zapowiedzią, zorganizuje sama w Paryżu zbadanie wszelkich dostępnych jej dokumentów i akt — i sama przeprowadzi proces z udziałem najwybitniejszych prawników świata, aby rzucić prawdziwe światło na działalność zasłużonych przywódców ruchu robotniczego w Polsce.

„Wiem o tym” — odpowiedział p. Mirosław Żuławski. I na tym rozmowa dobiegła końca. A zatem reżym postanowił nie dopuścić do obecności obrońców zagranicznych na procesie!

NA ŁAMACH PRASY

Sprawa uwięzionych socjalistów polskich poraça także raz po raz na łamy prasy. Szkocki „*Forward*” (z dnia 13 grudnia) przyniósł obszerny list Adama Ciołkosza, p. t. „Sprawa towarzysza Pużaka”. Autor listu rozprawia się z p. Arturem Brady, który na łamach tegoż pisma znajdował uzasadnienie aresztowania Pużaka m. in. w tym, że Pużak został przed dwoma laty rzekomo „wydalony” z Polskiej Partii Socjalistycznej.

Tow. Ciołkosz przedstawia więc szczegółowo sylwetkę Pużaka i wyjaśnia, jaki to „kongres” PPS w Lublinie w dniach 10 i 11 września 1944 „wydał” z partii Pużaka i innych prawdziwych przywódców

PPS, „którzy właśnie w tym samym momencie stali w pierzyszych szeregach bohaterskich bojowników powstania warszawskiego”, a wreszcie zaznacza:

„Gdy proces się odbędzie — nastąpi on przed sądem wojskowym, albowiem procesy polityczne w Polsce, nawet dla osób cywilnych, wciąż jeszcze odbywają się przed sądami wojskowymi, pomimo faktu, iż działania wojenne w Europie zakończyły się dwa i pół roku temu. Odbędzie się on w ogólnej atmosferze, otaczającej procesy polityczne w Europie Wschodniej — atmosferze zbyt dobrze znanej, by ją tu trzeba było opisywać.

Sądzić należy, iż jedyną drogą, stojącą przed socjalistami w tej sprawie, winno być wystąpienie w obronie aresztowanych towarzyszy, których dorobek całego życia, pełnego poświęceń dla sprawy wolności i socjalizmu, nie ma sobie równego”.

Sprawie Pużaka i innych aresztowanych polskich przywódców PPS również poświęca list do redaktora „*Sunday Times*” (z dnia 21 grudnia ub. r.) księżna Katarzyna Atholl (t. zw. „czerwona księżna”). Podkreśla ona zwłaszcza absurd nazywania ich „żywołami pravicowymi”.

OSTRZEŻENIE

Zaznaczamy na koniec, iż stosunek „nowej demokracji” do socjalistów polskich, wywiera coraz to bardziej rosnące wrażenie na Zachodzie Europy, stanowiąc ostrzeżenie dla socjalistów demokratycznych. Na manifestacji w Londynie w dniu 25 listopada mówił socjalistyczny członek parlamentu Blackburn: „Pomyślmj, w jaki sposób torturowaliby nas oraz wszystkich członków rządu socjalistycznego Wielkiej Brytanii komuniści brytyjscy, gdyby doszli do władzy”. Podobnie „*Manchester Guardian*” (z dnia 1 listopada ub. roku) podkreśla w korespondencji z Paryża, iż obawa rozłamu w francuskiej partii socjalistycznej znikła obecnie, albowiem z jednej strony gauliści stali się konkretną groźbą, z drugiej strony komuniści ujawnili, iż zniszczenie partii socjalistycznej jest ich naczelnym celem. „Socjaliści mają przed swymi oczyma widowisko prześladowania ich towarzyszy w Europie wschodniej przez komunistów, prześladowania, które najoczywściej stałoby się ich własnym udziałem we Francji, gdyby komuniści doszli do władzy. To sprawa, iż mający nastąpić proces p. Pużaka i 15 innych polskich socjalistów ma dla Francji tak poważne znaczenie wewnętrzne”.

Tym właśnie lękiem przed francuską opinią publiczną tłumaczy się w dużej mierze odmowa dopuszczenia francuskiego adwokata-socjalisty do procesu w charakterze obrońcy: Świat winien wierzyć na ślepo, iż sądy wojskowe w Warszawie wymierzają naprawdę sprawiedliwość.

Ala świat nie wierzy...

ZA WOLNOŚĆ I LUD

WŁADYSŁAW WOŁEK

Dopiero teraz doszła nas wieść, iż z ręki niemieckiego najeźdźcy zginął tow. **Władysław Wołek**. Tow. Wołek był czolowym działaczem ruchu robotniczego w Tenczynku w wojew. krakowskim. Legionista I-ej brygady, nie poszedł później „nieświeckim szlakiem”, lecz pozostał wierny ideałom młodości; był „duchem-czynicielem” ruchu politycznego PPS, zawodowego i oświatowego TUR w Tenczynku. Został aresztowany przez Niemców w styczniu 1943 r., po czym zaginął o nim wszelki śluch. Obecnie ustalone zostało, iż tow. Wołek zginął w obozie koncentracyjnym w Gusen w Austrii dnia 25 marca 1945. Cześć pamięci wiernego towarzysza!

FUNDUSZ I ŁAŃCUCH PRASOWY

Na fundusz prasowy „Robotnika Polskiego w Wielkiej Brytanii” złożyli: Franciszek Skalka Ł 1.1.-, Artur Szewczyk 6 sh. 6 d., Józef Nowacek 5 sh., Jan Lewartowski 5 sh., Józef Wrzos 5 sh., Józef Żmigrodzki 3 sh., T. Borowiecki 2 sh., Dr Janowski 2 sh., Jan Świątek 6 d. Serdecznie dziękujemy; kto następny?

Na łańcuch prasowy naszego pisma złożył Wacław Zagórski Ł 2, wzywając do złożenia co najmniej takiej samej kwoty Jana Kwapińskiego i Franciszka Halucha.

MOŚCICE



W r. 1927 na terenie dwóch gmin wiejskich pod Tarnowem: Dąbrówki Infulackiej i Świerczkowa, później połączonych i nazwanych Mościcami, rozpoczęta została budowa Państwowej Fabryki Związków Azotowych. W r. 1931 fabryka ruszyła! Był to pierwszy krok naprzód w gospodarce planowej, pierwszy poważny krok w kierunku uprzemysłowienia Polski niepodległej.

Mościce nie były jednak pierwszą w Polsce państwową fabryką nawozów sztucznych: Już w r. 1922 państwo polskie przejęło bowiem po Niemcach fabrykę azotniaków w Chorzowie na Górnym Śląsku. Był to wielki akt chwały polskiego robotnika i inżyniera. — Niemcy oczekiwali, iż ogołocona przez nich z załogi fabryka przemieni się w dymiący złom, jako świadectwo rzekomej „polnische Wirtschaft”. Stało się inaczej! Lecz produkcja Chorzowa rychło okazała się nieuystarczająca na potrzeby rolnictwa polskiego i trzeba było budować Mościce, tak zwany podówczas „nowy Chorzów”; stało się to przy pomocy pożyczki amerykańskiej.

Mościce odgrywały ważną rolę w naszym życiu gospodarczym. Produkcja Mościc związana była ściśle z zagadnieniem rolnictwa i stopy życiowej milionów ludzi w Polsce. Niestety, nasza wytwórczość rolna znajdowała się prawie na granicy samowystarczalności. Eksport wielu płodów rolnych miał miejsce jedynie z tego powodu, że chłop nie dojadł w ten sposób tworzył nadwyżki eksportowe zboża, masła i mięsa.

PALĄCE ZAGADNIENIE

Biorąc przeciętny zbiór z hektara za lata 1922—1933 widzimy, że dla pszenicy wynosił on w Polsce 11.92 q, w Czechosłowacji 17.5 q, w Danii 28.8 q. Dla żyta wynosił on w Polsce 11.4 q, w Czechosłowacji 17.7 q, w Belgii 24 q. Jęczmienia produkowała Polska 12.1 q, Czechosłowacja 18.7 q z hektara; przy owsie produkcja polska wynosiła 11.6 q, w Czechosłowacji zaś 17.6 q. Nawet w zakresie ziemniaka — głównego produktu naszej gospodarki chłopskiej i podstawowego pożywienia — znajdujemy się na szarym końcu: zbieramy bowiem 114 q, kiedy Czechosłowacja — 129.8 q, Belgia — 219.2 q z hektara.

Różne są przyczyny tej dysproporcji. Wchodzi tu w grę m. in. jakość gleby, warunki klimatyczne, ilość opadów, okoliczność czy ziemia jest zmeliorowana i odpowiednio znawożona, kultura rolna i przygotowanie zawodowe kierownika gospodarstwa, stopień umaszynowania warsztatu rolnego, opłacalność rolnictwa i inwestycji. Nasz zły sąsiad niemiecki z obszaru obsianego zbożami i za ledwie o 25 proc. większy przed wojną, osiągał zbiór ziarna prawie o 100 proc. większy niż nasz, mimo iż gleby niemieckie nie były zbyt lepsze od naszych. Różnica tłumaczy się tym, iż Niemcy zużywały nawozów fosforowych 12 razy więcej niż całe rolnictwo polskie, nawozów potasowych 50 razy więcej, a nawozów azotowych 15 razy więcej.

Zagadnienie produkcji nawozów sztucznych było więc i jest dla Polski palące. Produkcja naszych fabryk nawozów sztucznych wynosiła w tysiącach ton:

	1934	1935
Siarczan amonu	59	61
Saletra wapniowa	35	41
Saletrzak	11	5
Azotniak	33	31
Sól potasowa	300	384
Superfosfat	94	68

Wywóz nawozów sztucznych z Polski w r. 1934 wyniósł 82.000 ton i wzrósł w r. 1935 do 123.000 ton

Wojna — pisze dalej dr. Stanisław Kipta w katowickim „Życiu Gospodarczym” — przejechała się po naszym przemyśle nawozów sztucznych w sposób brutalny. Uległy wywiezieniu prawie wszystkie urządzenia fabryk azotowych w Mościcach i w Wyrach. Uległy zniszczeniu również fabryki superfosfatu. Sumarycznie straty oblicza się na 130 milionów złotych przedwojennych, nie licząc strat pośrednich, polegających na zużyciu maszyn, nieremontowaniu ich, braku konserwacji i przeciążeniu. Do niedostatku nawozowego przyczynił się także katastrofalny spadek pogłowia bydła, którego nawóz był głównym i zasadniczym środkiem nawożenia w polskim rolnictwie.

CZUJNA ZAŁOGA

Nieszczęściem dla Mościc było zatrzymanie się w r. 1944 frontu na pół roku na linii Wisły. Niemcy mieli czas na gruntowne rozmontowanie fabryki i rozwiezenie jej urządzeń po całych Niemczech. Urządzenia fabryki w Mościcach rozrzucono na Dolnym Śląsku, a częściowo w Bawarii, Wirtembergii, Austrii. Na dobro załogi Mościc trzeba zapisać, iż miała w dokładnej ewidencji każdy wywieziony przedmiot, każdą maszynę i miejscowość, dokąd te maszyny wywieziono. Ta skrupulatna ewidencja przyczyniła się znacznie do ułatwienia reindykacji. Montaż sprowadzonych z powrotem maszyn połączony był z olbrzymim wysiłkiem całej załogi. Odbudowa fabryki pochłonęła z górą pół miliona dniówek roboczych. Praca biur konstrukcyjnych nie da się ani w przybliżeniu opisać. Odbudowa odbywała się równolegle na wszystkich oddziałach, tak iż jeden oddział nie czekał na drugi i pierwsza produkcja mogła już ruszyć tytułem próby w połowie lipca 1947, na długo przed zakreślonym terminem. W dniu 13 września 1947 odbyła się uroczystość uruchomienia Mościc!

Fabryka mościcka należy do najbardziej planowo urządzonych fabryk w Polsce. Wszędzie jest przestronno. Gmachy mają swój architektoniczny wyraz, dużo zieleni i trawników. Budynek administracyjny celowo i pięknie urządzony. Domy urzędnicze i robotnicze, mimo, iż nie luksusowo urządzone, są poprostu wytworne, czyste i wygodne. Zawierają maksimum wygod i udogodnień, które może dać nowoczesna technika budowlana, a więc: światło elektryczne, wodę, gaz do opalania mieszkań itp.

Elektrownia, serce fabryki, poza zaopatrywaniem fabryki spełnia poważną rolę także w systemie elektryfikacyjnym południowej polaci kraju. Elektrownia ta bowiem łącznie z elektrownią wodną na zaprze w Rożnowie współpracuje w pewnych okresach ze Śląskiem i Warszawą oraz z zakładami Centralnego Okręgu Przemysłowego. Elektrownia pędzona jest na miale węglowym. Olbrzymie zużycie tego mialu leżą na hałdach i czekają na przesunięcie go podziemnymi transporterami do kotłowni. (Na jakość mialu dużo jest skarg, a głównie na jego niejednorodność i dużą zawartość wilgoci. Powoduje to duże straty produkcji pary i dużą ilość popiołu. Ruszły są kapryśne i lubią jednolite paliwo. Z tymi samymi bolączkami spotykamy się we wszystkich innych zakładach. Powinien by więc nastąpić taki rozdział mialu, by dla poszczególnych zakładów przeznaczano mial z jednego i tych samych kopalń). Mościce poza tym są potężnym konsumentem na koks. Koks rozgrzany do białości z przegrzaną parą wytwarza gaz wodny, składający się z wodoru, tlenku węgla, oraz drobnych ilości metanu. Fabryce chodzi głównie o uzyskanie wodoru. Wodór w tym procesie uzyskuje się z rozkładu wody. Inne

urządzenia umożliwiają otrzymywanie skroplonego powietrza w temperaturze stu kilkudziesięciu stopni poniżej zera. Droga destylacji rozdziela się azot od tlenu. Tlen w butlach stanowi pożądany artykuł do spawania.

Azot łączony z wodorem daje amoniak. Amoniak w dalszym procesie spala się na tlenki azotu, a te przerabia się na kwas azotowy. Kwas zaś azotowy daje saletrę amonową, która zmieszana z miałem wapiennym daje saletrzak — nawóz sztuczny, poszukiwany przez rolnictwo. Każdy z tych procesów wymaga skomplikowanych urządzeń, wysokich wież, generatorów, urządzeń do konwersji gazu na wodór i dwutlenek węgla, szczególnych instalacji do oczyszczenia wodoru z różnego rodzaju domieszek, specjalnych aparatów do właściwej syntezy. Spalanie amoniaku wymaga kosztownych kontaktów platynowych i wież absorbcyjnych. Na aparaturę Mościc złożyły się doświadczenia i systemy różnych narodów. Udział wynalazczości polskiej jest tu jednak olbrzymi i stale się zwiększa.

Osobny dział produkcji Mościc — to chlor i wapno chlorowane, niezbędne do bielienia w przemyśle włókienniczym i papierniczym. Produkcja wynosi dziennie 6 ton wapna chlorowanego. W przyszłości produkować się będzie także chlor płynny, chlorobenzol oraz sodę kaustyczną itp. W dziale nawozowym produkcja wysyłkowa obejmuje już poza saletrzakiem także amoniak, metanol i formalinę. Artykuły te są potrzebne do wyrobu mas plastycznych.

W momencie ruszenia Mościc ich zdolność produkcyjna równała się około 50 proc. przedwojennej; przed dobiegnięciem roku 1947 do końca, osiągnęła poziom przedwojenny, a po nadejściu szeregu maszyn zamówionych zagranicą i w kraju ma przewyższyć produkcję przedwojenną dwukrotnie.

Oczekuje się w najbliższym czasie puszczenia w ruch działu saletry wapniowej. Wznowienia tej produkcji oczekuje rolnictwo ze szczególną niecierpliwością. Nawóz ten jako szybko przyswajany przez rośliny i działający bezpośrednio jest specjalnie pożądany. Mościce jutra przy staranym kierownictwie, przy bogatym udziale nauki i wynalazczości polskiej, przy ofiarności pracowników fizycznych i umysłowych przyczynią się do zapewnienia Polsce dostatecznej ilości chleba i plonów rolnych. Zniknie obawa przed głodem.

Na uroczystość uruchomienia Mościc przybyła grupa młodzieży wiejskiej z wieńcami dożynkowymi. Życzymy Mościcom — pisze „Życie Gospodarcze” — „by następnym wieńcem dożynkowe, otrzymywane w uroczystym obrzędzie, następowały po zniwach, które zapełnią śpiczlerze polskie w takiej mierze, byśmy o chleb w dosłownym tego słowa znaczeniu nie musieli się prosić zagranicą. Nastąpić to zaś może przy pełnej współpracy Mościc i całego polskiego przemysłu nawozów sztucznych z polskim rolnictwem”.

FABRYKA W CHORZOWIE

Jednocześnie z uruchomieniem fabryki w Mościcach, Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Chorzowie obchodziła 25-lecie swej pracy pod polskim kierownictwem, czyli rodzaj srebrnego wesela związku chemii z polskim rolnictwem. Fabryka chorzowska po okresie okupacji niemieckiej była w roku 1945 w stanie wielkiego zniszczenia. Już jednak w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy po przejściu fabryki w ręce polskie, Chorzów wyprodukował 69.000 ton azotniaku, 34.000 ton saletrzaku, 800 ton saletry sody, a ponadto 4.000 ton wapno-amonu i poważne ilości różnych związków chemicznych, przeważnie pochodnych amoniaku i węgla. Chorzowska produkcja azotniaku wynosi obecnie 169 proc., a saletrzaku 229 proc. w stosunku do produkcji z roku 1938. Dalsze zwiększanie produkcji odbywać się może już tylko drogą inwestycji; do końca 1949 r. produkcja Chorzowa wzrosnąć ma niemal dwukrotnie. Wśród pracowników Chorzowa znajduje się 95, którzy zatrudnieni są w tej fabryce od chwili jej uruchomienia w roku 1922.

Jednak nawet wtedy, gdy Mościce i Chorzów będą w całej pełni odbudowane i rozbudowane, głód nawozów azotowych w Polsce nie będzie zaspokojony. Dlatego też mówi się już poważnie o potrzebie budowy nowej fabryki jeszcze większej i bardziej nowoczesnej od Mościc. Stanęłaby ona w Kędzierzynie na gruzach dawnej fabryki benzyny syntetycznej lub w Dworach koło Oświęcimia.

CZTEROLATKA MARSHALLA



JERZY
MARSHALL

Wczesnym latem roku 1947 szereg wysoce niepokojących zjawisk na horyzoncie ekonomiki europejskiej zaalarmował obserwatorów. Mniej więcej do jesieni roku poprzedniego procesy t. zw. „rekonwersyjne” (przestawiania się gospodarki z toru wojennego na pokojowy) przebiegały zgoła pomyślnie, pomyślniej aniżeli to prorokowano; dopiero później szereg przyczyn, wśród nich przede wszystkim wyjątkowo surowa zima — paraliżując w pierwszej linii gospodarkę żywnościową i paliwną, rozpętał „spirale”, zdającą się grozić bliskim zapadem, zwłaszcza że powojenna akcja ratunkowa (UNRRA) dobiegała już wtedy końca.

INICJATYWA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Takie było tło inicjatywy amerykańskiej, której motywów szukać zapewne trzeba przede wszystkim w tej roli stabilizatora — politycznego i gospodarczego — którą tradycyjnie odgrywa Europa wobec reszty świata, mimo swego malejącego potencjału gospodarczego czy wojennego; tezy tej nic nie potwierdza lepiej jak to, że w okresie życia jednego pokolenia ludzkiego świat cały musiał się zaangażować dwukrotnie w zmagania, wywołane społeczno-politycznymi i ideologicznymi konfliktami europejskimi.

Być może dzień jutrzejszy przyniesie nam pełniejszy wgląd w historię dyplomatyczną mowy ogłoszonej 5 czerwca 1947 r. przez sekretarza stanu (czyli ministra spraw zagranicznych) Marshalla w uniwersytecie harwardzkim; tak jak dzisiaj rzecz wygląda — była ona dość luźną i bodaj spontaniczną sugestią wielkiego żołnierza i męża stanu, by państwa Europy — wszystkie czy przynajmniej większość z nich — zespoliły wysiłki dla odzyskania równowagi ekonomicznej, do czego ze swej strony Stany Zjednoczone Ameryki w granicach możliwości i potrzeb miałyby się także przyczynić. Akcent był bodaj nie tyle na pomocy, ile na samopomocy. Inicjatywa harwardzka, podchwyczona szybko przez Bevina, sprowadziła śpiesznie do wspólnego stołu najpierw Wielką Czwórkę; z jej kiepskiego koncertu szybko atoli ubyla Rosja, zarzucając, iż Departament Stanu organizuje pod nową egidą krucjatę monopolistycznego kapitału na Europę, a w rzeczywistości obawiając się położenia kresu ekspansji sowieckiej ku Atlantykowi i brzegom Morza Śródziemnego. Nie bez dramatycznych wahań i perypetii — państwa satelickie ZSRR zmuszone zostały pouturzyć za panią matką pacierz: odcięły się od akcji Marshalla, sprzegając swe własne ekonomiki w ramach tego, co potocznie nosi dzisiaj nazwę „planu Molotowa”.

PO ODMOWIE ZSRR I SATELITÓW

W rezultacie, krąg uczestników planu Marshalla zwęził się wprawdzie tylko do kadłuba Europy, kadłuba obejmującego jednak 16 krajów, zamieszkanych przez masę 270 milionów, reprezentujących wysoką sprawność rolniczą, przemysłową i handlową; reprezentujących około połowy światowego handlu, dwóch trzecich światowej żeglugi, znaczny udział w innych usługach międzynarodowych (bankowość, asekuracja, turystyka itd.); wielkie władztwa kolonialne; wysychające coprawda, ale ciągle jeszcze pokaźne inwestycje kapitałowe w innych częściach świata — co wszystko razem daje temu „obszarowi 16-ki” w warunkach normalnych względna łatwość zdobywania na świecie żywności oraz surowców w rozmiarach wystarczających na utrzymanie stopy życiowej niższej coprawda, niż w Stanach Zjednoczonych czy w Kanadzie, aleć zawsze wyższej, aniżeli ta, jaką może się poszczycić jakkolwiek inna wielka aglomeracja ludzka.

O planie 4-letnim (1948—51) ekspertów europejskich, t. zw. „planie paryskim”, da się w paru słowach powiedzieć tyle, że przewiduje on ekspansję rolnictwa i przemysłu do poziomu dotychczas nieotwartego, że np. planuje podniesienie produkcji hutniczej o 20 proc., górniczej o 5 proc., energetycznej — o 60 proc., rafinerii naftowych —

o 100 proc., przewozu śródlądowego — o 25 procent ponad poziom przedwojenny; przewiduje on też wyższy od przedwojennego poziom produkcji zbóż, cukru, ziemniaków. O rozmachu, jaki eksperci zaplanowali, dość dla orientacji powiedzieć, że miał by być równy temu, jaki znamionował gospodarkę amerykańską w latach wojennych, oznaczając (w stosunku do poziomu obecnego) zwiększenie produkcji dóbr i usług o dwie trzecie, a tempo rozrastania się wytwórczości przemysłowej z roku na rok conajmniej o jakieś 15 procent. Eksperci ci obliczyli, że dla zapewnienia takiego rozmachu konieczny jest import żywności, maszyn i surowców za około 57 miliardów dolarów, z czego ze trzy piąte pokryłoby się własnym wywozem, resztę kredytami z zewnątrz, w której części (około 19 miliardów dolarów w czteroleciu) — ze Stanów Zjednoczonych Ameryki.

OPORY WEWNĘTRZNE

Gdy chodzi o angażowanie się polityczne i gospodarcze na naszej półkuli, mężowie stanu amerykańscy mają u siebie w domu zadanie notorycznie niełatwe. Truman nie może zapomnieć nauczek, jakie od rodaków otrzymali Wilson i Roosevelt. To też ogólna taktyka jego musi być (i jest) taka, by unikać pozoru narzucania swej linii, natomiast by posunięciami pośrednimi i okólnymi doprowadzić społeczeństwo i Izby do przyswojenia sobie tej linii „spontanicznie” jako własnej. Temu właśnie celowi, jak moglibyśmy powiedzieć — indukcji, służyć miały przede wszystkim te tak liczne, że aż mylące Europejczyka, komitety, które miały raportami swymi uczynić plan Marshalla bardziej strawnym dla opinii za oceanem; wystarczy przypomnieć komitet parlamentarny Hertera badający na miejscu stan rzeczy po tej stronie Wielkiej Wody przez 6 tygodni, komitet Kruga badający stan zasobów naturalnych Stanów, komitet Nourse'a analizujący skutki pomocy dla własnej ekonomiki USA i wreszcie ogólny komitet pod przewodnictwem ministra handlu Harrimana, składający się z przedstawicieli przemysłu, pracy i nauki, a przesiewający całość nagromadzonego materiału badawczego — dla użytku administracji i Kongresu (parlamentu).

„Szarego człowieka” i jego przedstawicieli w Izbach trzeba przede wszystkim przekonać: (a) że pomoc dla zagranicy jest konieczna, (b) że pomoc ta nie jest „szczurzą dziurą” (rat's hole, określenie dla „worka bez dna”), (c) że pomoc leży także w interesie USA, (d) że Stany Zjednoczone stać na udzielenie jej.

POLSKI

ZAKŁAD MALARSKO-DEKORACYJNY

R. Strassberger & J. Wojas

48, Redcliffe Gardens, London S. W. 10
telefon FLA 7969

przyjmuje roboty wchodzące w zakres budowlanych, malarskich i malarsko-dekoracyjnych.

Wykonanie szybkie — staranne i tanie.
Kosztorysy na żądanie bezpłatnie.

Oczywista rozwój wypadków na arenie światowej — znany spłot akcji i reakcji, zwłaszcza taktyka obrona przez ZSRR w toczonej się „suchej wojnie” a również taktyka partii komunistycznych — w szczególności także powstanie Kominformu, tudzież wydarzenia we Włoszech i Francji — ułatwiły zadanie Waszyngtonowi, jeżeli chodzi o pierwszy z wyliczonych tu punktów.

Izolacjonizm t. zw. dziki, starego autoramentu, jest — jak twierdzą ludzie znający stosunki amerykańskie — na wymarcu. Ale dla większości parlamentarnej, według czyjegóż trafnego powiedzenia, „Rosja jest anathema, ale pomoc dla obcych jest anathemissima”: wyznawcy tego poglądu — wedle tegoż obserwatora — najchętniej tyle uchwaliliby kredytów, tylko ile trzeba i starczy... na malowanie groźnych wyzisk na żelaznej kurtynie. Wśród nich to przyjmują się najłatwiej (częstokroć nieodpowiedzialnie, a nawet demagogiczne) przestrogi polityków o tym, że koszula bliższa ciała i że pomoc dla Europy oznacza biedę w własnym domu.

TYLKO 3 PROC. DOCHODU NARODOWEGO

W rzeczywistości efekt pomocy dla Europy jest dla gospodarstwa amerykańskiego problemem złożonym, w którego ocenie trzeba się wystrzegać nadmiernych uproszczeń. Przy tej ocenie warto przede wszystkim pamiętać, że już przy istniejącym stanie rzeczy (cyfry dla I półrocza 1947 r.), „kraje planu Marshalla” płacą Stanom za towary, usługi etc. jakieś 7 i pół miliarda dolarów w stosunku rocznym, na co 6 i trzy czwarte miliarda czerpią z kieszeni amerykańskiej pod najróżniejszymi nazwami, pokrywającymi pożyczki czy poprostu dary. Stany Zjednoczone Ameryki w ogólności eksportują zagranicę tylko jakieś 6—7 procent swej ogromnej produkcji, z czego połowę pokrywają sobie importem: t. zn. że resztę tak czy inaczej kredytują czy dają światu w prezencie. Pomoc dla świata z uwzględnieniem planu Marshalla oznaczałaby w każdym razie nie więcej, niż jakieś 3 procent dochodu społecznego tego bogatego kraju (wiemy, że bogatemu łatwiej darować 3 proc. dochodu, aniżeli biednemu, dla którego to same 3 proc. mają relatywnie o wiele większą wagę!). To rozumowanie każe wnioskować, że udzielenie pomocy jest raczej problemem woli politycznej, aniżeli możliwości ekonomicznej, że — pod kątem widzenia Stanów Zjednoczonych — jest ceną bezpieczeństwa politycznego.

Gdy zdejmiemy wszakże zasłonę pieniężną z cyfr, jakie przytoczyliśmy wyżej — obraz, jaki nam się ukaże, będzie bardziej zagmatwany i skomplikowany. Teza o rzekomej konieczności udzielenia pomocy światu dla podtrzymania równowagi rynkowej amerykańskiej jest w każdym razie bezsensowna; ale bezspornie na tym czy innym odcinku pomoc ta stwarza niezbędny dodatkowy popyt na te czy inne nadwyżki, przyczyniając się do utrzymania równowagi rynkowej. Na niektórych innych odcinkach rzecz wygląda inaczej. Tak np. przy zmontowaniu w pomocy dla Europy trudności mogą ujawnić się w zakresie stali: mimo, że jej produkcja w Stanach Zjednoczonych osiąga rekordy, głód stali, a przynajmniej pewnych jej gatunków, rośnie jeszcze szybciej; rzecz ma się podobnie ze złodem i niektórymi półfabrykatami; lepiej być może przedstawia się na ogół sprawa potrzebnych nadwyżek węgla, choć wywóz jego do Europy jest z pewnością wysoce nieekonomiczny (stąd w planie 16-tu ekspertów akcent na konieczność zapewnienia przywozu z Polski!); dość kiepsko wygląda sprawa bawełny; nierówna jest sprawa sprzętu maszynowego tak ważnego dla odbudowy i rozbudowy Europy; niektóre bardzo ważne grupy, jak np. obrabiarki, są poddostatkim, innych mogłoby zabraknąć. Najtrudniej zdaje się wyglądać odcinek żywności (i związany z nim — odcinek nawozów sztucznych, maszyn rolniczych itd.); choć popyt dodatkowy, jaki stwarzają zakupy na pomoc zagraniczną, jest niewielki w porównaniu ze stałym popytem wewnętrznym, ale ten popyt dodatkowy ma dla szeregu szczególnych powodów charakter t. zw. popytu „marginalnego” (t. j. może łąco stać się ową przysłowiową odrobina, która przeważa szalę); z braku rozsądnie zestawionego systemu środków zaradczych popyt ten istotnie mógłby popędzić ceny żywności do góry, a tym samym stać się punktem wyjścia falowego odrzutu („reperkusji”) w całym organizmie gospodarczym.

TAKTYKA TRUMANA

Zrozumienie tego właśnie związku przyczynowego zmusiło prez. Trumana do łącznego potraktowania pomocy dla Europy z kwestią przywrócenia szeregu środków kontroli nad zasobami gospodarczymi i ich wykorzystaniem, aż do kartek żywnościowych włącznie — celem zabezpieczenia mniej zamożnego spożywcy przed nierówną konkurencją z bogatym, w wypadku rozpięcia się fali drożyznianej. Dla wielorakich powodów ograniczenia takie spotykają się z dużą niechęcią społeczeństwa amerykańskiego.

Przeszkody, jakie mu się nasuwają na drodze parlamentarnej, prezydent Truman w swym wysługu z czasem „bierze” kolejno, jedną po drugiej. Obierając taką taktykę, sforsował on w Izbach najpierw z oddzielną pomoc t. zw. doraźną („stop gap”) dla trzech krajów, które opinia amerykańska faworyzuje jako najbardziej zagrożone politycznie, t. j. dla Francji, Włoch i Austrii. W drugim „rzucie” rozwija się sprawa pomocy dalekosiężnej, która znajduje się „na tapecie” Kongresu z początkiem Nowego Roku na podstawie wniesionego już przez prezydenta projektu ustawy, preliminarzującego kredyt 6,8 miliardów na pomoc w pierwszych 15 miesiącach (od 1 kwietnia 1948) a 17 miliardów przez całe czterolecie — nie licząc źródeł pośrednich, jak Export—Import Bank i inne. Idąc za raportami komisji, prezydent w swym ostatecznym planie poczynił w niektórych punktach ustępstwa krytykom, zwłaszcza na punkcie wyposażenia Europy w pewne kategorie sprzętu gospodarczego (np. budownictwo okrętowe).

OGRANICZENIA I WARUNKI

Trudno być prorokiem, ale choć nowa faza planu Marshalla będzie napewno nielatwa — pomoc, zdaniem autorytatywnych obserwatorów, będzie u dzielona. Kongres napewno zechce okroić preliminarzowane kredyty — choć otrzymał słuszne ostrzeżenie z Białego Domu, że człowieka nad przepaścią nie uratuje przetrzucona mu linka copperska długa, ale — o połowę za krótka, by go móc przewiązać i wyciągnąć. Bardzo wydaje się prawdopodobne, że kongres baczną uwagę skieruje na sprawę kontroli zużycia pomocy przez jej odbiorców; już dzisiaj da się przewidzieć takie kautele, jak związanie tych odbiorców specjalnymi umowami dwustronnymi, ustalającymi zasady korzystania z kredytów i darów; jak skoncentrowanie całej administracji Planu w specjalnej agencji pod zwierzchnictwem Szefa Planu o wysokim autorytecie i uprawnieniach. Mówi się o możliwości zawarowania spłaty części kredytów wzajemnymi dostawami nadwyżek peunych surowców, które Stany Zjednoczone Europy gromadzą jako t. zw. rezerwę strategiczną na wypadek wojny. Mówi się także o możliwości wysunięcia żądań i kautele dla restauracji walut opartych o złoto, rzecz zdawna popularna w Stanach. Nie jest wykluczone, że dla zapewnienia skutecznej deflacji (ma ona duży fawor opinii amerykańskiej) postawione będą pewne warunki, nakazujące rządząco-odbiorcom gromadzenie sum, uzyskanych ze sprzedaży swym obywatelom zasobów dostarczonych przez Amerykę — na specjalnym koncie zablokowanym; takie zamrożenie wycofanych środków pieniężnych wymiotłoby z obiegu nadmiar nabywczej siły pieniężnej. Mówi się także o niektórych innych ograniczeniach.

Sprawa jednak tych ograniczeń (t. zw. potocznie „sznureczków” — „strings”), mających kępować odbiorców pomocy, jest kwestią bardzo delikatną. Teren jest bardzo śliski! Amerykanie mogą łatwo posunąć się dalej, aniżeli to dać może realny pożytek; przesada jednak na tym odcinku może być przez niektóre społeczeństwa — zwłaszcza np. brytyjskie i francuskie — odczuta jako upokarzająca interwencja w wewnętrzne sprawy i próba narzucenia pewnych zasad w ich życiu gospodarczym i społecznym (nie trzeba zapominać, że zwłaszcza Wielka Brytania jest w toku przebudowy ustroju ku socjalizmowi — rzecz notorycznie nie mająca przychylną ocenę w Stanach). Mimo więc, że przyszłowiowemu koniowi darowanemu nie zagląda się w zęby, darczyńca we własnym interesie musi tu zachować umiar. Brak takiego umiaru dałby najlepszą broń w ręce komunistom, którzy od niedawna posługują się hasłem obrony suwerenności narodów Europy.

Al.

POLACY W BELGII

Mimo, że t. zw. stara emigracja jest w Belgii dość liczna (zajmuje w Europie drugie miejsce po Polonii francuskiej), mimo, że w swej przewadze jest emigracją robotniczą, do niedawna zaledwie bardzo niski procent górników-Polaków należał do związków zawodowych belgijskich. Związkowcy ci stanowili równocześnie kadre PPS w Belgii.

Wobec jednak bierności ogółu polskich górników, ci nieliczni związkowcy nie zdołali wyodrębnić się ani też zaznaczyć się jako grupa związkowa w masie belgijskiej; poprostu zniknęli w niej. Nie miała tu winę ponoszą nasze przedwojenne konsulaty, które znanymi metodami sanacyjnymi tworzyły organizacje, hołdujące „radosnej twórczości”. Powstało w ten sposób swoiste ghetto polskie, podtrzymywane subwencjami dla jego przywódców. Nie zdołano nawet wytworzyć powszechnej organizacji społecznej, niezbędnej dla życia zbiorowego, która objęłaby ogół emigracji polskiej, a która oparta byłaby na zdrowych podstawach ideowych i gospodarczych. Teraz dopiero stało się jasne dla wszystkich, że Związek Polaków w Belgii był w dużej mierze narzędziem w rękach biurokratów i zasłonną dymną dla ich działalności. Skoro zabrakło subwencji, działalność Związku Polaków, zresztą bardzo ograniczona i jednostronna, zachwiała się. Najdotkliwiej odbiło się to na odcinku oświaty; nie ma pieniędzy nawet na niewielką liczbę nauczycieli!

Można jednakże sądzić, że Związek Polaków po peunym okresie otrząśnię się i przy wspólnym wysiłku świadomych działaczy stanie się rzeczywiście główną, samodzielną i niezależną organizacją Polaków — obok Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego, które w ramach odrębnej organizacji zrzesza uchodźców, osiedlających się w Belgii.

Wracając do ruchu zawodowego, dla ścisłości należy podkreślić, że obok trudności ze strony polskiej były również i pewne trudności ze strony gospodarzy tego kraju.

Już w pierwszych miesiącach 1947 roku rekrutacja uchodźców do Belgii, spowodowana brakiem ludzi do pracy, w szczególności w górnictwie belgijskim, stała się przyczyną pewnego ożywienia i nowych zabiegów. Narzucało się pytanie: Skąd i jaka może być pomoc dla uchodźcy, który przybył do Belgii, by ciężką pracą zarobić na swe utrzymanie, skoro z góry wiadomo, że kapitalista belgijski nie powstrzyma się od wysiłku napływowej siły roboczej? Nasi związkowcy wiedzieli dobrze, że dla robotnika polskiego istnieje tylko jedna droga: Sprząc się z ruchem robotniczym belgijskim; pomagając robotnikom belgijskim w prowadzonej przez nich walce, równocześnie zapewnić sobie solidarną pomoc z ich strony w obronie interesów grupy uchodźczej. Jest to równocześnie droga walki o urzeczywistnienie celu, który przyswieca nam jako Polakom; łącząc się z klasą pracującą w demokratycznych krajach Zachodu, najlepiej przeciw służymy sprawie polskiej.

W wyniku tej oceny, szczupła grupa związkowców rozpoczęła wiosną 1947 roku pracę organizacyjną związkową i równocześnie TURową.

Już dziś można z dumą mówić o wynikach.

W dniu 8 października 1947 na posiedzeniu Narodowego Komitetu Wykonawczego Centrali Górników (Comite National Executif) pod przewodnictwem senatora Van Laerhoven ustalono zasady organizowania ruchu zawodowego wśród D. P. przybyłych do pracy w górnictwie.

Komitet Wykonawczy ustalił następujące zasady wytyczne:

(1.) Centrala Górników zgadza się na organizowanie podsekcji robotników ze Wschodniej Europy przy istniejących sekcjach belgijskich. Członkowie podsekcji mają te same prawa, co członkowie sekcji belgijskich.

(2.) W miarę organizowania podsekcji, zostaną w poszczególnych okręgach górniczych zaangażowani stali sekretarze opłacani przez Centralę Górników, a rekrutujący się z przedstawicieli D. P. Dla uzyskania etatu — ilość wpisanych do Związków Zawodowych musi wynosić około 1.000 ludzi.

(3.) Ze składki 10 fr., wpłacanej na rzecz Związku Zawodowego belgijskiego, podsekcje otrzymywać będą tygodniowo 1,10 fr. na cele organizacyjne i administracyjne D. P.

Niezależnie od tych zasadniczych kwestii, ustalono zasady współpracy, a więc:

— Wyrażono zgodę na korzystanie przez robotników ze wschodniej Europy, zorganizowanych w Związkach Zawodowych, z belgijskich Domów Ludowych (których jest sto kilkadziesiąt) celem prowadzenia akcji kulturalno-oświatowej.

— Ustalono, że Centrala Górników zapewni wydawanie komunikatów (biuletynów) w językach ojczystych dla członków podsekcji.

— Postanowiono pomoc w zorganizowaniu w poszczególnych Centralach i Okręgach — Komisji Wykonawczych, składających się z przedstawicieli poszczególnych narodowości, które koordynowałyby prace podsekcji.

Powyższe rozwiązanie formalne i korzystne warunki, jakie zostały zaofiarowane nowoprzybyłym przez Centralę Górników, pozwolą na przeprowadzenie skutecznej akcji werbunkowej w terenie.

Dodać też trzeba, że działacze Związków Zawodowych belgijskich doceniają w pełni potrzebę roztoczenia przez Centralę skutecznej opieki nad nowoprzybyłymi, rozumieją ich ciężką sytuację i podejmują interwencje (kantyny, dotrzymanie warunków kontraktu).

Zawarcie umowy daje już teraz szerokie możliwości. To też związkowcy polscy wykorzystują je skwapliwie. Praca organizacyjna jest prowadzona intensywnie. Powoli ustępuje bierność i nieufność; polski klasowy ruch zawodowy w Belgii rośnie i krzepnie.

W dniu 25 października odbyło się w Brukseli zebranie działaczy związkowych z całej Belgii. Po wysłuchaniu sprawozdania z dotychczasowej akcji, w wyniku której polski klasowy ruch zawodowy, działający w ramach belgijskiego ruchu zawodowego, uzyskał szanse dużego rozwoju — uznano za konieczne stworzenie ogólnych ram organizacyjnych. Postanowiono sekcje, grupujące Polaków, połączyć w jedną organizację, którą nazwano Centralną Komisją Polskich Klasowych Związków Zawodowych. Do władz Centralnej Komisji weszli tow. Stefan Grot — przewodniczący, Władysław Dehnel — sekretarz, oraz Karol Bortkiewicz — skarbnik, Siuda, Talko i delegaci 6 okręgów. W myśl uchwalonego regulaminu, wybrane władze są tymczasowe, do czasu zwołania Zjazdu Delegatów.

W tym samym dniu w Brukseli odbyło się zebranie działaczy TUR'a. Po wysłuchaniu sprawozdania i uchwaleniu regulaminu postanowiono powołać organizację pod nazwą „Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego Polskiego Uchodźstwa Wojennego w Belgii”. Sieć organizacyjna związkowa stanowi równocześnie komórki TUR'a. Każda sekcja związkowa, której członkami oprócz Polaków są i uchodźcy innych narodowości, tworzy koło TUR'a, grupując w ten sposób Polaków. Na czele TUR'a stanęli tow. prof. dr Rudolf Wilczek oraz Maria Wilczkowa, Zofia Wasiustyńska, dr Jerzy Krzywicki, Leszek Talko, inż. Bortkiewicz, red. Barbara Nitman i Siuda. Postanowiono nawiązać kontakty i współpracę ze Związkiem Polaków, Instytutem Naukowym w Belgii, Towarzystwem Pomocy Polakom, YMCA oraz TUR'em w innych krajach. Uchwalono zorganizować kurs dla działaczy związkowych. Rozpoczęto wydawanie biuletynu TUR'a, który w treści swej będzie jak gdyby kursem korespondencyjnym dla związkowców i TUR'owców. TUR zamierza ponadto przystąpić do organizowania kursów nauki języka francuskiego, działu rozrywkowo-kulturalnego, sportu a w przyszłości także czasów robotniczych.

Zarówno Centralna Komisja Polskich Klasowych Związków Zawodowych, jak i TUR — doceniając znaczenie organizacji uchodźstwa — postanowiły zgłosić swoje przystąpienie do Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego w Belgii.

Związkowiec z Belgii.

ZJAZD W ANTWERPII

Międzynarodowa konferencja socjalistyczna, odbyta w Antwerpii w Belgii w dniach 29 listopada — 1 grudnia 1947 r., była **czwartą** z kolei po ukończeniu działań wojennych. Pierwsza odbyła się w Clacton-on-Sea (maj 1946), druga w Bournemouth (listopad 1946), trzecia w Zurychu (czerwiec 1946).

Na konferencji antweperskiej zastąpione były partie socjalistyczne siedemnastu krajów europejskich, ponadto „Bund”, Palestyna, Kanada, Stany Zjednoczone Ameryki i Indje. Polskę reprezentowali delegaci reżymowej P. P. S.: Rusinek, Hochfeld, Rosner, Sokółowski i Zborowska. Rola przewodniczącego konferencji przypadła sędziwemu przywódcy belgijskiemu, tow. Ludwikowi de Brouckere.

Podobnie jak na konferencji zuryskiej, dużą część obrad zajęły zagadnienia **formalne**, z tym jednak, że ich polityczny charakter ujawnił się już w całej pełni. Chodziło przede wszystkim o listę uczestników konferencji.

(1) W pierwszym dniu obrad międzynarodowy „Bund” żydowski, poprzednio przyjęty w stopniu „obserwatora” (to jest bez prawa przemawiania i głosowania) został awansowany do stopnia uczestnika pełnoprawnego.

(2) Po wysłuchaniu sprawozdania komisji, która na miejscu zapoznała się z położeniem ruchu socjalistycznego w **Bułgarii** i po długiej dyskusji postanowiono dopuścić reżymową partię socjalistyczną (frakcja Dymitra Neikowa), jednak tylko jako obserwatora.

(3) **Indyjska** partia socjalistyczna oraz **indyjska** partia radykalno-demokratyczna zostały dopuszczone do obrad w charakterze obserwatorów.

(4) Obie **hiszpańskie** partie socjalistyczne reprezentowane były jako obserwatorzy. Konferencja postanowiła powierzyć komisji, złożonej z pięciu osób, zapoznanie się z różnicami wewnątrz hiszpańskiego ruchu socjalistycznego celem złożenia sprawozdania na następnej konferencji.

(5) Po ożywionej dyskusji, **konferencja postanowiła dopuścić niemiecką partię socjalno-demokratyczną do następných konferencji jako pełnoprawnego członka**. Tym samym dobiegła końca walka, rozpoczęta jeszcze w Bournemouth, której punktem kulminacyjnym była konferencja zuryska. W Zurychu przeprowadzono na wstępie zasadę, że do przyjęcia nowego członka nie będzie obowiązywała jednomyslność, wystarczy natomiast większość dwóch trzecich. W Antwerpii, za przyjęciem Niemców padło 12 głosów, przeciw — 4 (Polacy, Węgrzy, Czechosłowacja i Palestyna); dwie delegacje (Włosi i „Bund”) wstrzymały się od głosowania.

(6) O dopuszczeniu do obrad konferencji zwrócili się **tow. Adlam Ciołkosz imieniem Delegacji Zagranicznej P. P. S.** oraz tow. Volman imieniem rumuńskiej partii socjalno-demokratycznej, na której czele stoi stary i zasłużony działacz Tiel Petrescu, a która — po połączeniu się reżymowej partii socjalistycznej z komunistami — jest jedynym jej wyrazem myśli socjalistycznej na terenie Rumunii. Niestety, obie te sprawy nie weszły na porządek dzienny konferencji i nie zostały rozpatrzone.

(7) Rząd grecki odmówił delegatowi **greckiej partii socjalistycznej** wiz na konferencję. Na wniosek Morgana Phillipsa, sekretarza **Labour Party**, konferencja postanowiła wysłać do rządu greckiego telegram protestacyjny.

(8) Z Włoch przybyły dwie delegacje: jedna „jednolitofrontowa”, złożona z Nenniego i Basso, reprezentująca włoską partię socjalistyczną (**P. S. I.**) brała pełny udział w pracach konferencji; druga, złożona z Saragata, Matteo Matteottiego i Giovanniego Pinni, reprezentująca partię socjalistyczną robotników włoskich (**P. S. L. I.**) pozostawała tylko w kuluarach. Konferencja nie rozpatrywała tym razem problemu jedności włoskiego ruchu socjalistycznego.

(9) Partia Socjalistyczna Stanów Zjednoczonych Ameryki reprezentowana była przez tow. Maurycego Goldbloom; została ona dopuszczona jedynie w charakterze „gościa”; tym samym — oprócz uczestników pełnoprawnych i obserwatorów, stworzona została trzecia kategoria delegacji. ... Ponadto obecny był w Antwerpii, lecz nie brał udziału w obradach, tow. Leon Dennen z amerykańskiej Federacji Socjalno-Demokratycznej.

Po raz pierwszy międzynarodowa konferencja socjalistyczna powzięła **uchwałę o charakterze politycznym**, przyczem decyzje zapadały większością głosów. Główna rezolucja przygotowana została w obradach dwóch komisji: politycznej (przewodniczył tow. Wiktor Larock) i ekonomicznej (przewodniczył tow. Herman Vos). Rezolucja w następujący sposób określa zadania ruchu socjalistycznego:

„Celem socjalizmu jest zdobycie władzy przez robotników dla zapewnienia ludom wszystkich krajów pokoju i możliwie jak największej sumy dobrobytu oraz prawdziwej wolności. Socjalizm jest w swej istocie międzynarodowy. Nie da się on oddzielić od demokracji. Powody obecnego napięcia upatruje on zarówno w przyczynach gospodarczych jak i w przyczynach politycznych”.

Omawiając **zagadnienia walki o pokój**, uchwała stwierdza, że istnienie przeciwstawnych bloków stwarza nieustające niebezpieczeństwo konfliktu. Partie socjalistyczne powinny zwalczać wszelką politykę zorientowaną w kierunku bloków.

Nie wymieniając planu Marshalla po imieniu, uchwała uznaje potrzebę pomocy amerykańskiej w odbudowaniu życia gospodarczego Europy. Uchwała zastrzega się jednak, że nie może być przyjęta pomoc, uwarunkowana politycznym podporządkowaniem się, ani też pomoc, która by zagrażała możliwości socjalistycznych reform w odnośnych krajach. Uchwała oświadcza dalej, że pokój świata i dobrobyt robotników zależą od szybkiej odbudowy Europy i innych spustoszonych obszarów na podstawie socjalistycznej i wita — jako pierwszy krok w tym kierunku — nacjonalizację niektórych przemysłów kluczowych i reformę rolną. Jeśli chodzi o Niemcy, to uchwała domaga się rygorystycznej de-nazifikacji, przeprowadzenia reformy rolnej i socjalizacji kluczowych przemysłów, pod kontrolą międzynarodową.

Rezolucja polityczna została uchwalona głosami 14 delegacji; cztery delegacje wstrzymały się od głosowania: polska (delegacji reżymowej PPS), węgierska, włoska, (delegacja czechosłowacka głosowała z Zachodem) oraz holenderska. Jeżeli jednak pierwsze trzy wstrzymały się od głosowania dlatego, że w uchwałę zajęto — ich zdaniem — zbyt krytyczne stanowisko wobec komunistów, to Holendrzy uczynili to samo z wręcz przeciwnych

powodów. Uważali mianowicie, że uchwała niedość ostro i nie dość jasno odcina się w swych sformułowaniach od stanowiska komunistycznego. Z drugiej jednak strony należy stwierdzić, że konferencja odrzuciła poprawki wniesione przez delegację warszawską i włoską (partia Nenniego) a zmieniające do utworzenia jednolitego frontu z komunistami w skali światowej. **Rezolucja podkreśla potrzebę jedności klasy robotniczej, ale i nakaz bezwzględnej wierności zasadom demokracji i socjalizmu.** Rezolucja potępia agresję Kominformu na socjalizm demokratyczny (nie wymieniając jednakże Kominformu z nazwy) i odpiera ataki na partie socjalistyczne Wielkiej Brytanii i Francji, a w szczególności na Leona Bluma i Attlee.

Na wniosek delegacji „Bundu”, w szczególności zaś tow. Nowogrodzkiego z Nowego Jorku („Bund” był reprezentowany ponadto przez dra Schuldenfreia z Warszawy i tow. Rybę z Paryża), konferencja antweperska uchwaliła rezolucję w sprawie „**Displaced Persons**”, która czyni zadość wszystkim nakazom sytuacji na tym tragicznym odcinku rzeczywistości powojennej. Rezolucja ta brzmi:

„Istnienie — w przeszło trzy lata po zakończeniu wojny — setek tysięcy **D. P.** stanowi wyrzut pod adresem ludzkości i przeszkodę w odbudowie gospodarczej Europy i świata. Konferencja zwraca się do wszystkich rządów demokratycznych, aby bezwzględnie podjęły kroki dla umożliwienia **D. P.** rozpoczęcia nowego życia i podjęcia pracy produkcyjnej. Bramy wszystkich krajów winny stanąć otworem dla tych nieszczęsnych ofiar hitleryzmu, faszyzmu i wojny”.

Konferencja uznała, że okoliczności wciąż jeszcze nie sprzyjają utworzeniu **Międzynarodówki Socjalistycznej**, jednak w odpowiednim czasie zagadnienie to będzie na nowo zbadane. Tymczasem zgodzono się na **wzmocnienie** dotychczasowej organizacji międzynarodowych konferencji socjalistycznych w oparciu o następujące zasady:

Podstawą stosunków pomiędzy partiami socjalistycznymi są międzynarodowe konferencje socjalistyczne, przy czym reguły dopuszczania do obrad i procedury głosowania należą do kompetencji samej konferencji. Dotychczasowy Komitet Konsultacji i Łączności z siedzibą w Londynie zostanie zastąpiony przez Komitet Międzynarodowych Konferencji Socjalistycznych (skrót: COMISCO), w którym każda partia będzie reprezentowana przez jednego członka i jednego zastępcę spośród odpowiedzialnych przywódców partii, upoważnionych do zaciągania zobowiązań w imieniu swego stronnictwa. Mogą się też odbywać konferencje regionalne, przy czym jednak wymagane jest zaproszenie delegacji Komitetu Międzynarodowego. (Wedle przewidywań, jedną z pierwszych będzie konferencja socjalistów krajów azjatyckich, co mieć będzie ogromne znaczenie dla przyszłości socjalizmu).

Sumujemy. Przyjęcie Niemców do grona uczestników międzynarodowych konferencji socjalistycznych uznać należy za **duży błąd**. Decyzja ta jest **grubo przedczesna**. Obowiązkiem prawdziwych socjalistów niemieckich w obecnym okresie historycznym winna być przede wszystkim walka z nacjonalizmem niemieckim, który przeżarł cały niemiecki naród, nie wyłączając i klasy robotniczej. Czy niemiecka partia socjalno-demokratyczna, na której czele stoi dr Kurt Schumacher, wywiązuje się z tego swego obowiązku? Istotnym przyczynkiem do odpowiedzi na to pytanie jest chociażby artykuł, ogłoszony przez Ericha Ollenhauera, wiceprezesa niemieckiej partii S. D. w kwartalniku „**Socialist World**”, wychodzącym w Londynie, wręcz w przeddzień konferencji antweperskiej. W artykule tym Ollenhauer atakuje granicę polsko-niemiecką na Odrze i Nysie Łużyckiej i domaga się zwrócenia Niemcom „**wschodnich terytoriów, obecnie administrowanych przez Polskę**”. Obawiać się należy, że tego rodzaju rewizjonistyczne wystąpienia niemieckie będą się ponawiały na terenie międzynarodowego ruchu robotniczego, nie przyczyniając się ani do walki z nacjonalizmem w Niemczech, ani do utrwalenia pokoju w Europie.

Jeśli chodzi o zagadnienie nowej Międzynarodówki Socjalistycznej, to w Antwerpii okazało się, iż wola odbudowy międzynarodowej współpracy ruchu robotniczego jest tak silna, że mimo wszelkich istniejących trudności uzewnętrznia się ona coraz wyraźniej. Istotną rzeczą nie jest nazwa, ale stopień wzajemnego zaufania i zdolność do wspólnej akcji dla wspólnych celów. Konferencja antweperska była pod tym względem dużym krokiem naprzód. Wobec tej woli wspólnego działania bezsilny się okazał komunistyczny sabotaż międzynarodowej jedności ruchu socjalistycznego. Tak zwany „**socjalistyczny blok wschodni**” znalazł się na konferencji w mniejszości, a ponadto okazało się, że zwartość tego bloku jest niewielka: w dyskusjach i w głosowaniu inne stanowisko zajmowała np. delegacja czechosłowacka a inne — delegacja warszawska i węgierska. Natomiast ze strony partii socjalistycznych Zachodu był oczywisty wysiłek niezrywania węzłów łączności z partiami socjalistycznymi wschodniej Europy, nawet za cenę dużych wyrzeczeń i ustrzeżliwości w formułowaniu stanowiska.

Konferencja antweperska wciąż jeszcze nie potrafiła uporać się ze sprawą obywatelstwa ugrupowań **emigracyjnych** w międzynarodowym ruchu socjalistycznym. I tak np. dla socjalistów hiszpańskich było w Antwerpii miejsce tylko w charakterze obserwatorów, a więc jak gdyby uczestników drugiej klasy. Bez względu na przyczynę tego faktu, stanowił on szczególne upokorzenie dla całego międzynarodowego ruchu socjalistycznego.

Innym wyrzutem sumienia była w Antwerpii kwestia przedstawicielstwa ruchu socjalistycznego krajów **Europy środkowo- i południowo-wschodniej**. Zagadnienie reprezentacji polskiej powraca już od czasu konferencji w Clacton-on-Sea z coraz to większą natarczowością. Przybycie do Antwerpii tow. Ciołkosza w imieniu PPS było wyrazem żądania robotników polskich, by ich wolny i nieskrepowany głos mógł rozlegać się przynajmniej na forum międzynarodowego ruchu socjalistycznego, w którym brali oni przecież udział od jego najpierwszych początków. Brak przedstawicielstwa niezależnego i demokratycznego socjalizmu Polski i innych krajów Europy środkowo- i południowo-wschodniej w obradach międzynarodowego ruchu socjalistycznego równałby się okaleczeniu tego ruchu. Żądając miejsca dla niezależnej reprezentacji socjalizmu polskiego, czynimy to nie tylko w interesie samych robotników polskich, ale w interesie całego międzynarodowego socjalizmu i tego wysokiego autorytetu moralnego, jakim winien on rozporządzać.